



Dworek Ponianówka, siedziba Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Błotackiej

ISBN 978-83-917639-5-7
ISSN 1897-4902



Katarzyna Degler
Władysław Degler

W Fabryce Zapalek w Błoniu



W Fabryce Zapalek
w Błoniu



Błomska Biblioteczka, nr 2
Pod red. Romana Nowoszewskiego

Katarzyna Degler
Władysław Degler

W Fabryce Zapalek w Błoniu

Postscriptum napisał
Jerzy Oziemski

Przygotował do druku
Roman Nowoszewski

Błonie 2011



Publikacja
wydana nakładem
Urzędu Miejskiego w Błonie

Fotografie ze zbiorów Władysława Deglera
oraz Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Błoniejskiej

Korekta Zespół

Opracował graficznie
Włodzimierz Rüdniczki

Łamanie i przygotowanie do druku
Roman Kiliś

© Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Błoniejskiej, 2011

ISBN 978-83-917639-5-7
ISSN 1897-4902

Wydawca
Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Błoniejskiej
05-870 Błonie, ul. Norwida 1

Druk
Drukarnia Gutenberg, Łódź

Nakład 200 egz.

Przekazano do łamania 10 lutego 2011
Wydrukowano w marcu 2011

Roman Nowoszewski

Drugi tomik Błoniejskiej Biblioteczki

Pierwszy tomik Błoniejskiej Biblioteczki zawierał wspomnienie Wiktora Jaworskiego dotyczące działalności Autora w błoniejskiej delegaturze Rady Głównej Opiekuńczej 1939-1945. Wspomnienie to, wygłoszone przed laty na spotkaniu zorganizowanym przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Błoniejskiej, zostało następnie w wersji poszerzonej spisane przez Autora i przekazane do archiwum Towarzystwa. Wydawało się zasadne ogłoszenie drukiem tej relacji sporządzonej przez uczestnika ówczesnych wydarzeń, który po latach ujawnił, przypominał nieznane lub zapomniane fakty i zdarzenia z lat okupacji.

W drugim tomie naszej biblioteczki drukujemy wspomnienie Katarzyny Deglerowej, także dotyczące okresu wojny. Autorka była żoną inżyniera pracującego w Fabryce Zapalek i mieszkała wraz z dziećmi na terenie fabryki, a przedstawione tu wspomnienie, obejmujące pierwsze dni wojny, wkroczenie Niemców do Błonia, represje okupanta i przejawy oporu społeczeństwa, przeplatają się z wątkami rodzinnymi, osobistymi. Wszystko opisane piórem uczestniczki i uważnej obserwarki tamtych tragicznych wydarzeń. Opis prosty, pospieszny – szkoda, iż w wielu fragmentach aż tak lakoniczny, zdawkowy – przemawia swym autentyzmem. Nie ma tu pamiętnikarskiego kolorowania rzeczywistości, przeważa zwięzły, kronikarski zapis okupacyjnych nocy i dni.

Wspomnienie, zamieszczone we fragmentach na łamach „Błoniejskiego Informatora Samorządowego”, przekazał do druku Władysław Degler, najstarszy syn Autorki, wówczas kilkunastoletek. Nie tylko użyczył pamiętnika, ale dopełnił go – również zamieszczonym w tym tomiku – własnym

wspomnieniem z dzieciństwa i lat młodzieńczych, kiedy to jako piętnastoletni chłopiec musiał podjąć pracę w Fabryce Zapalek. Wspomnienie to, zawierające nadto jedyny tak fachowy opis nieistniejącej już fabryki, też jest zapisem gawędy wygłoszonej w roku 2005, w ramach spotkań organizowanych przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Błońskiej, wydrukowanej następnie w pierwszej, skróconej wersji na łamach „Błońskiego Informatora Samorządowego”. Władysław Degler dopisał ponadto garść informacji o losach poszczególnych członków swej rodziny, związanej z Błoniem od kilku pokoleń. Ojciec Władysława, Leon, był w latach trzydziestych wiceburmistrzem Błonia – fakt to dziś niemal zupełnie zapomniany.

Z kolei Jerzy Oziemski dopowiada i komentuje niektóre z faktów i zdarzeń opisanych przez Katarzynę Deglerową, zwraca też uwagę na dokumentarne znaczenie tej relacji rzucającej nowe światło na wydarzenia, jakie w czasie wojny miały miejsce na terenie Błonia, dotyczyły błoniaków. Przytacza ponadto fragment wspomnień por. Alfreda Paczkowskiego, krórego w październiku 1939 los rzucił do obozu przejściowego w Błoniu. Pozwala to nie tylko spojrzeć na ówczesne wydarzenia oczyma osoby z zewnątrz, ale też potwierdzić wiarygodność zapisów Katarzyny Deglerowej.

Okres okupacji w Błoniu wciąż kryje wiele białych plam, o których wypełnienie coraz trudniej, wszak coraz mniej świadków i nowych dokumentów z tamtych lat. Wspomnienie Katarzyny Deglerowej w drobnej części wypełnia tę lukę.

Swoistym dopełnieniem powyższych relacji jest list radzieckiego żołnierza, którego losy wojenne rzuciły do Błonia. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że list ten Anna Szczerbińska, której serdecznie dziękujemy za darowiznę, przekazała Jerzemu Oziemskiemu w czasie naszych prac nad korektą redakcyjną niniejszej publikacji. Dosłownie w ostatniej chwili zdołaliśmy dołączyć list wraz z komentarzem do przygotowanego wcześniej materiału, wypełniając w ten sposób jeszcze jedną z białych plam w najnowszej historii Błonia. Z głęboką nadzieją, że wypłyną na światło dzienne jeszcze kolejne, równie interesujące dokumenty drzemiące być może gdzieś w domowych szafach, szufladach.

Tomik zamyka krótka informacja o historii zapalek w Polsce, próba spojrzenia na błońską fabrykę w szerszym tle ekonomiczno-gospodarczym.

Katarzyna Degler

Okupacyjne wspomnienia z Fabryki Zapalek

Po I wojnie światowej musiałam uciekać z Wołynia, z miasteczka Anopol koło Ostroga, jako nauczycielka, z polskim wojskiem, przy odwrocie spod Kijowa, przez Brody, Lwów, do Warszawy, gdzie w Szpitalu Ujazdowskim (przy Pięknej) pracowałam jako referentka oświatowa; miałam osiem sal z chorymi żołnierzami. Do obowiązków moich należała nauka żołnierzy alfabetu, zmiana książek do czytania, pisanie listów do rodzin itd.

Tam pracowałam od roku 1919 do 1920. W 1920 wróciłam znowu do szkolnictwa cywilnego. Szkołę dostałam w Miedniewicach Klasztornych, 14 km za Żyrardowem, gdzie pracowałam do jesieni 1922 roku, a od września 1922 zaczęłam pracować w Błoniu. W szkole pracowałam zawodowo, a wieczorami – nauka starszych analfabetów, prowadzenie kółka teatralnego w Towarzystwie Przyjaciół Młodzieży; no i oczywiście z dziećmi w szkole w ciągu roku szkolnego. Na zakończenie roku teatryki z dziećmi, loterie szkolne – jako praca społeczna na fundusz Domu Akademickiego w Warszawie. Tak było do 1925 roku.

Piątego sierpnia 1925 wyszłam za mąż i z miasteczka przenieśliśmy się na teren Fabryki Zapalek leżącej w odległości jednego kilometra od miasteczka. W szkolnictwie pracowałam jeszcze do stycznia roku 1926. Obowiązki rodzinne nie pozwoliły mi na pracę zawodową, ale zaoferowałam swą pracę przy organizowaniu biblioteki robotniczej przy Fabryce Zapalek i prowadziłam ją od 1926 do 1939, do czerwca, a to dlatego, że mąż był służbowo przeniesiony do Pińska na stanowisko zastępcy dyrektora i mieliśmy się przenieść od września całą rodziną. Miejsce w drugiej klasie gimnazjum było dla synka Władzia zarezerwowane, bo po ukończeniu szóstej

klasy szkoły powszechnej w Błoniu jeździł do Warszawy do Gimnazjum Wojciecha Górskiego.

Tymczasem już zaczynało się robić w polityce niewyraźnie i mówić o wojnie. Zarząd PCK w Grodzisku zwrócił się do mnie, aby zorganizować oddział w Błoniu. W kwietniu powstał oddział przy pomocy ks. proboszcza Antosiewicza, kierowników szkół Józefa Niemstaka i Władysława Piłkiewicza, a w dwa tygodnie po utworzeniu oddziału zorganizowałam kursy sanitarne. Przy otwarciu pomógł mi mój mąż. Na wykładowców zaproszeni byli dr Stefan Szparaga, Antoni Okraszewski, Leon Degler. Kurs trwał dwa tygodnie, zapisanych było sto osób, ale skończyło sześćdziesiąt.

Kurs bardzo się przydał, bo choć Błonie nie było przygotowane na przyjęcie rannych, w szkole zrobiono szpital i kursanci opiekowali się chorymi. Ja prowadziłam ewidencję kursu; na zakończenie i rozdanie świadectw przyjechał dr Szpakowski z Grodziska. Przy fabryce prowadziłam drużynę odkażającą, która nawiasem mówiąc nie była potrzebna, bo dzięki Bogu, gazów nie było.

W chwili wybuchu wojny mąż był w Pińsku, a ja z synkami, 13-letnim starszym Włodziem i 9-letnim Jędrusem byłam w Błoniu (mąż wrócił 12 grudnia 1945). Jeszcze 31 sierpnia przekonywałam kobietę, która nosiła mleko, że to niemożliwe, by Niemcy przyszli, bo jesteśmy uzbrojeni po zęby...

5 września, jak byłam w magistracie w sprawie dyżurów, zobaczyłam na podłodze śpiącą na sienniku dziewczynkę, 7-8 lat. Dziecko szlochało przez sen. Na pytanie odpowiedziano mi, że jest to dziecko zabrane spod zbombardowanego pociągu pod Piasecznicą koło Sochaczewa. Zabrałam je do siebie i obiecałam, że na drugi dzień odwiozę do matki. Była to córka wojskowego z Kruszwicy, Marysia Scencel, matki Anny i ojca Antoniego. Ba, ale gdzie tę matkę znaleźć, bo o nią mi głównie chodziło; dziecko, choć kontuzjowane w rączkę i nóżkę, miało opiekę. Była od 5 września do końca listopada. Dałam znać matce przy pomocy księdza i ciotka przyjechała po nią. Zabrała zdrową, zaopatrzoną w sukienki, buty, ciepłą bieliznę.

Już 5 września wszystkimi drogami szli w różne strony uciekinierzy z zachodu i byli bombardowani przez niemieckie samoloty. Ofiar było bardzo dużo koło Błonia po drogach. 5 września zorganizowałam zebranie,

jako przewodnicząca PCK, i zorganizowaliśmy kuchnię przy drodze sochaczewskiej i na stacji kolejowej, ale kuchnie trwały przez zaledwie kilka dni, bo brak było produktów; wszystko zaczęło się kurczyć.

Mój mąż przed wyjazdem do Pińska zaprojektował schrony na terenie fabrycznym. Na noc ja z dziećmi i dziewczyną moją, Michaliną, nocowaliśmy w schronie, a na dzień – do domu. W dzień dzieci były w ogródku. A jak był alarm, chowałam je pod drzewka, a sama patrzyłam na samoloty, jak rzucały bomby. Było dziwnie, im większy nalot, to mała Marysia natychmiast zasypiała i nic nie wiedziała. W jakiś trans nerwowy wpadała. Zwykle leżała pod drzewkiem, bo nie mogła chodzić do schronu ze względu na chorą nóżkę. Do schronu nosili ją na zmianę Michalina z Władziem, a ona prosiła świętą Tereskę, żeby już mogła chodzić sama, to będzie biegła jak piesek za panią, a tak to ją trzeba nosić.

Dziwiącego wrześnie koło bramy fabrycznej zobaczyłam harcerzy z drużynowym harcmistrzem Edwardem Przybyszem i zastępowym Stefanem Zielińskim. Pokatowa, matka dwóch harcerzy, zdziwiła się, że mój starszy syn nie jest przygotowany do drogi, „bo Niemcy mordują dzieci, które należą do harcerzy”. W pierwszej chwili chciałam go wysłać do Terespolu, do siostry, a później do Pińska, do męża. Spytałam zastępowego, dokąd idą? Odpowiedział: „Za frontem będziemy szli i pomagali wojsku. Kule nosić będziemy”. Strąła mi w oczach wizja grobów z I wojny światowej, tych, co uciekali. „Niech się Władek prędko ubiera, bo idziemy!”. Powiedziałam, że on nie pójdzie! Jak ja tu zginę, to znajomi zaopiekują się, a jeśli on, to ja go pochowam, ale na rutazkę takie dziecko – nie! I dobrze zrobiłam. Gdy była bombardowana Warszawa, matki rwały włosy na głowie.

Drużyna rozleciała się na różne strony, zapędziła się aż do Pińska i wróciła do Błonia dopiero w listopadzie. Mój mąż się nimi opiekował, a chłopcy wracali pojedynczo, do grudnia. Szczęśliwie nikt nie zginął. Matki widać wyprosiły u Matki Boskiej Błotńskiej ich szczęśliwy powrót, a mnie zazdrościły, że mam dziecko w domu.

Nocą były bardzo ciepłe. W ten pamiętny 13 września rano, kiedy wróciłam do domu, dał mi znać jeden z panów z biura, że oddziały wojsk niemieckich są już w mieście, a niedługo będą na terenie fabryki. Dostałam jakiegoś szoku nerwowego i zdawało mi się, że to już koniec z nami. Panie sąsiadki zaczęły mnie ratować, uspokoiłam się pomalutku i zastanowiłam, bo przecież miałam dwoje swoich dzieci i trzecie cudze, sierotę może,

która chyba już teraz zostanie moim dzieckiem. Trzeba nerwy ścisnąć i za-
stanowić się nad sytuacją.

No i jak lawa zahalało wojsko niemieckie wszystkie pola dookoła fabryki
i cały teren. Samochody, samochody, aż się w głowie kręciło od szumu i zgieł-
ku gąsienic czołgów i od samochodów. Naloty naturalnie ustały, ale gdzie się
człowiek zwrócił, gdzie spojrzał, wszędzie mundury niemieckie i mowa.

Na terenie zrobili skład amunicji i komendant zapowiedział, że w ra-
zie jakiegos sabotażu wszystkich nas wystrzela, a baza była zrobiona na za-
opatrywanie walk z Warszawą, a Warszawa jeszcze walczyła. Trzynastego
września, jak wkroczyły oddziały niemieckie, zaraz wszystkie radia i tele-
fony zostały zabrane, a ja swojego starego Philipsa schowałam, a potem
robotnicy go w magazynie przechowali, i mamy go do dziś. Telefon też
schowałam, a jak przyszli, to powiedziałam, że już go zabrano.

Przyszło kilku żołnierzy, aby dać im wino. Miałam go trochę, ale kwa-
śne jak ocet. Postawiłam przed nimi gąsiorek, a jeden z nich kazał mi się
napić. Zrobiłam to i powiedziałam: to wy potraficie truć ludzi, u nas tego
nie ma. Zawstydzili się, wypili i poszli. Pod wieczór przyszedł jakiś oficer,
aby dać pokój, w którym mógłby spać z żołnierzami, bo są zmęczeni dłu-
gim marszem. Odpowiadał mu pokój chłopców, z przedpokoju na lewo.
Kazał Żydom przynieść słomy. Ja z dziećmi i Michaliną spaliśmy na pod-
łodze w ubraniach w pokoju na prawo. Wyszli oknem o czwartej rano, aby
nie budzić nas.

O godzinie jedenastej przyszedł wojskowy w towarzystwie Jana Szrajn-
ducherta i powiedział, by mu pokazać pokój, w którym spali niemieccy
żołnierze. Otworzyłam drzwi do pokoju chłopców i pokazałam ręką, mó-
wiąc, że tu spali wojskowi. Powiedział, że tu spały polskie świnię, a nie
niemieckie wojsko. Nie – odpowiedziałam – tu spało wojsko niemieckie,
jeśli panu nie odpowiada ten pokój, to proszę – i pokazałam pokój, w kró-
rym spałam razem z dziećmi. Ja przeniosłam się do innego pokoju, zabie-
rając rzeczy, które pozwolili zabrać. Zniszczyli mi całą kolekcję kaktusów,
a w domu było piekło. Ten oficer to był prokurator Bekiet, mały, niski
i podły jak bestia. W pokoju zamieszkał inny oficer. Przespał jedną noc
i przeniósł się do miasta.

Tymczasem Niemcy zagarniali cywilnych mężczyzn, którzy na apel
w radiu pułkownika Romana Umiaszowskiego, aby mężczyźni uciekali,
zrobili tak, a później byli przez okupanta traktowani jako wojskowi w cy-
wilu¹. Tak było i u nas. Bardzo dużo było Żydów, kilku księży. Wprowa-
dzali ich na teren fabryki do dawnych schronów i tam rozstrzelali. Trwa-
ła ta na zimno mordownia do siedemnastego, a robili to młodzi żołnierze
studenci z batalionu SS Adolf Hitler. Takich pięciu kwaterowało u mnie.
Na lewym rękawie munduru *Feldgrau* mieli opaskę, która maskowała na
czarnym tle srebrnym wyszyty monogram *A.H.*, a także na kołnierzach
i naramiennikach. Wszystko to lśniło, jak było odkryte. Oni to właśnie
mordowali nieszczęsne ofiary.

Niektórzy z nich brali udział w natarciu na Warszawę. Musiałam im
gotować. Wprawdzie przynosili swoje produkty, były to kury czy kartofle
zarczkwitowane, ale co miałam robić. Był wśród piątki tęgi blondas Kurt
Keller, typowy nordyk, który pokazał mi chyba ze dwadzieścia zegarków,
obraczek ze trzydzieści, kupę pieniędzy. To wszystko zabrane od ofiar.
Straszne, jak na zimno to robili.

Wieczorem, jak kładłam dzieci spać pokotem na podłodze, brał organki
i grał im do snu, aby prędzej zasnęły. Mordowali do 17 września, kiedy przy-
szedł nowy komendant i zabronił rozstrzeliwać. Przed przyjściem batalionu
SS Adolf Hitler przyszedł stary żołnierz i prosił, aby mu pożyczyć łyżkę, bo
zgubił swoją. Dałam mu łyżkę do sałatki, a gdy chciał zapłacić, powiedzia-
łam, że mu ją daruję. Później ten żołnierz przyszedł i jak zobaczył, że nikogo
nie ma, powiedział: „Proszę się pilnować i być ostrożnym, bo przyszedł bata-
lion A.H. Oni są straszni, my się też ich boimy”. On miał rację.

W dniu kapitulacji Warszawy, kiedy zebrali się na obiad, powiedzieli
mi, że dziś Warszawa *kaput*. Spytałam, czy kochają swój Berlin, bo ja ko-
cham swoją Warszawę, i proszę ze mną na ten temat nie rozmawiać, i wy-
szłam z pokoju. Któryś zaklaskał w dłonie. Wojskowi przenocowali, wyszli
rano i już ich więcej nie widziałam. Kiedy po nich sprzątałismy pokój,
przyszła jedna pani z innym oficerem i powiedziała, że on dowiedział się,
że jest u mnie pianino i prosi o pozwolenie pogrania na nim. Grał ładnie
operowe melodie.

¹ Brak potwierdzenia podobnych przypadków w innych relacjach (przyp. red.).

Dwa czy trzy dni później ten oficer przyszedł jeszcze raz z jakąś dziewczyną, która siadła w kącie, a on zaczął grać. Nie zwracałam na nich uwagi, bo sprzątałam w sąsiednim pokoju. W tym czasie przyszła do mnie kierowniczka fabrycznego żłobka i słysząc muzykę, spytała, kto gra? A przyszedł jakiś oficer w towarzystwie baby i gra, a ona ma śpiewać – odrzekłam. Ponieważ kierowniczka była ciekawa, jak babsztyl wygląda, uchyliła delikatnie drzwi, zajrzała i w śmiech: „Pani Kasiu, a toć to jest Ciołków służący!” (a opinię miała ona zszarganą, to wiedziałam o niej, choć jej nie znałam). Nie wiem, kiedy wskoczyłam do pokoju wprost do dziewczuchy: – Precz z mieszkania! – Ona uciekła, a oficer zaskoczony pyta, co jest? Pociągnęłam go do sąsiadki, która mówiła po niemiecku. On kazał się spytać, co mi się stało? Proszę mu powiedzieć, odrzekłam, że jak chce grać, to niech gra, ale panien o dziwnej reputacji niech do mojego domu nie sprowadza! Na to on, że w Polsce służące i panie są jednakowo ubrane, i on myślał, że to pani. Może być służącą, powiedziałam, ale porządną dziewczyną. I dodałam, że potrafił mnie odróżnić od Michalinki, i nie ją, tylko mnie prosił o pozwolenie gry na pianinie. Wyciągnął łapę przepraszając, dodał, że już to się nie powtórzy. I poszedł, ale już więcej nie przyszedł; już mu się grać nie chciało.

Jak się później zmitygowałam, zimno mi się zrobiło; toż taki psu brat mógł trzasnąć... i dzieci zostałyby sierotami. Strach mnie obleciał, bo przecież ten łotr Bekier, jak prosiła go z miasta kobieta, by pozwolił pokazać nowo urodzone dziecko mężowi, którego on nie widział, bo poszedł na wojnę, a dzisiaj jako jeńiec wojenny siedzi za drutami w prowizorycznym obozie – nie pozwolił. Matka z dzieckiem uklękła przed nim, a on ją noskiem od burt przewrócił.

Jak był obóz na terenie fabryki, trafiło do niego także kilku robotników z fabryki, ale dyrekcja zareklamowała i zostali zwolnieni. Jeden podchorąży z Warszawy miał być wysłany do Łowicza do innego obozu, ale zaświadczyłam, że go znam. Zatrzymał się u pana Ciołka, a ja go żywiłam przez cały tydzień, a później dostał przepustkę i wyjechał do Warszawy.

W tydzień po kapitulacji Warszawy przyszli jej obroncy, tak zwani jeńcy honorowi. Wszystkie szopy i mieszkania zapelnili się nimi. Głodni, brudni oficerowie różnych rang. Było ich pełno w moim mieszkaniu. Karmiłam, prałam, cerowałam, ubierałam – robiłam, co mogłam, by ulżyć ich doli.

Mały, taki przejściowy obóz był naprzeciwko fabryki, w obejściu księdza Wielgosza. Tam jeńcy byli tylko parę godzin i partiami byli odsyłani do Grodziska, do pociągu i dalej... Tam nosiłam z Marysią Wróblówną i Michaliną gorącą kawę albo kartofłankę. Zawsze miałam przygotowany cały duży kocioł. Żandarmi niemieccy wiedzieli o tym i któregoś wieczora przychodzi taki żandarm i mówi, że jest partia głodnych żołnierzy, których trzeba nakarmić szybko, bo odsyłają ich dalej. Nie było ani Marysi, ani Michalinki. Co robić? Nie myśląc długo, pokazuję na kocioł. Żandarm spojrzał na mnie, ale chwycił za jedno ucho, ja za drugie, chuchnęłam do ręki, i zanieśliśmy razem kocioł. Żołnierze byli tak wygłodniali, że ten, co łapczywie zjadł, znów chciał dostać drugi raz. Trzeba było uformować kolejkę, a szwabsko stało i pilnowało porządku, aby każdy dostał coś zjeść. Na drugi dzień przychodzę z chlebem i bandażami, bo byli ranni, których trzeba było opatrzyć. Patrzę, żołnierz trzyma rękę na pasku. Okazało się, że odłamek przorał mu plecy do prawego ramienia, kolega opatrzył mu ranę w lesie, ale była już brudna i bał się ręką ruszać. Zaczęłam robić opatrunek, a szwabsko drze się nade mną: „*Schnell, schnell*”, bo już jego oddział rusza. Niech rusza, odpowiedziałam. Ranę trzeba dobrze opatrzyć, i pójdzie z następną grupą.

Tupał na mnie, ale ja swoje robiłam, aż skończyłam opatrunek. Ranny był lwowiakiem. „Niech pan Bóg wynagrodzi” – powiedział i rozplakał się. „Czuję się już lepiej i mogę nawet już trochę poruszać ręką”. Innemu opatrzyłam nogi, bo miał na nich takie odciski i bąble, że nie mógł dobrze chodzić. Jeszcze innemu żołnierzowi kciuk lewej dłoni dosłownie wisił tylko na skórze. Trzeba było odciąć go nożyczkami, wydezynfekować i zabandażować. Jak dzisiaj o tym myślę, to chyba tylko jakaś siła niebieska moimi rękami kierowała i kazała robić to, co należało.

Jeńcy Żydzi byli traktowani inaczej. Nie wolno był im dawać chleba ani pomagać. Przez okno widziałam taki obrazek. Stoi oficer Żyd, a jakiś polski żołnierz pokazuje Niemcowi, że on ma podarte spodnie i chce te, które miał ten oficer. Taki mnie ogarnął gniew, że zbeształam tego żołnierza. Zawstydział się i uciekł. Oficer podeszedł do okna i powiedział: „Niech Bóg zapłaci”, a ja dałam jemu jeszcze chleb, jaki miałam przygotowany dla jeńców.

Na drodze z Błonia do Grodziska był taki ruch, że żołnierz go regulował. Jak człowiek chciał przejść na drugą stronę drogi, to musiał czekać. Któregoś października przygotowałam koszyk z chlebem i konewkę z ka-

wą, a ubrana byłam w biały fartuch i białą chustkę na głowie, i chciałam przejść na drugą stronę drogi do obejścia księdza Wielgosza. Przy bramie fabrycznej stała gromada szwabów. Podchodzę do furtki, aby wyjść, a Niemiec stojący tam zagroził mi przed nosem drogę karabinem. Wyciągnęłam rękę, podniosłam karabin i poszłam dalej. Naraz słyszę od bramy brawa. To nasi oficerowie urządzili mi owację: „Takich Polek więcej!”. Już później żaden szwab drogi mi nie zagradzał.

Takie było moje życie. W domu miałam oficerów, których trzeba było nakarmić, i tym u księdza Wielgosza też trzeba było dać coś zjeść, i z miasta przynieść ciepłą odzież i inne potrzebne rzeczy, bo przecież szli do niewoli, a sami nie mogli tego załatwić. Ponieważ żydowscy kupcy mieli do mnie zaufanie, zapisywałam cenę i brałam to, co było potrzebne, i zносиłam całym tobołami. Oficerowie mieli pieniądze. Trzeba było przynieść to, co chcieli.

Z oficerów, którzy byli w moim domu, zapamiętałam nazwisko Iornika Górskiego, Rowińskiego z Włocławka czy Kutna, Andrzejewskiego, którego żona przyjechała i była kilka dni, aż do wyjazdu jeńców.

Uciekinierzy zaczęli powracać i wszystkim, którzy jechali na zachód w kierunku Kruszwicy, dawałam adres Marysi i prosiłam, by zawiadomili matkę, że jest cała i już zdrowa, a ona już dobrze dawała sobie radę z Władkiem i Jędrusem. Od pani Stępowskiej dostałam dla Marysi parę sukienek, bo miała taką dziewczynkę, a z Caritasu płaszczyk. Oficerowie jak się dowiedzieli, że jest u mnie dziecko wojskowego, to złożyli się dla niej i dali 35 złotych, za co kupiłam dla niej dwie sukienki, botki i ciepłą bieliznę. Szykowałam ją do szkoły, jak będzie czynna. A tymczasem zaczęła się uczyć z moimi dziećmi.

Któregoś dnia na początku października, kiedy byłam z koszem chleba w obejściu księdza Wielgosza, jakiś cywil zaciągnął mnie do kąta i mówi, pokazując palcem skulonego w kącie starego człowieka: „To jest zakonny ksiądz, chory na cukrzycę. Czy pani może mu pomóc? Ja go na plecach tu przyniosłem. Jestem braciszkiem zakonnym”. Dobrze, zrobić, co będę mogła, odpowiedziałam.

Wróciłam do domu i wzięłam wino z czarnych jagód, sucharków i jakieś lekarstwa. Oddając te rzeczy braciszкови spytałam, dokąd wracają?

Odpowiedział, że na zachód. Podałam im adres Marysi i prosiłam, aby dali znać matce, że jej córeczka żyje, jest zdrowa. I jest u mnie. Obiecali to zrobić, ale nie byłam pewna, czy im się uda. Następnego dnia rano już ich nie zastałam.

Nie tylko ja opatrywałam i zaopatrywałam naszych oficerów. Inne panie to robiły także. Były jednak przypadki nadużywania zaufania, np. zamiana kawy prawdziwej na zbożową.

Kapitan Falkiewicz miał żonę w szpitalu w Tworkach, a nie wiadomo, gdzie byli syn i córka. Zostawił u mnie pieniądze na opłacenie szpitala za dwa miesiące (kwity mam). Z niewoli pisał, że dzieci znalazły się we Lwowie, ale już powróciły do Warszawy. Drugi kapitan, Kozłowski z Łodzi (miał tam jakąś fabrykę) zostawił tam żonę i dwie córki. Dał mi testament z prośbą, że mam go oddać tylko żonie do rąk własnych. Tak też się stało. On też różnymi datkami parozłotowymi za drobne usługi demoralizował Michalinę, która ociągała się z pomocą innym, ponieważ nic jej nie dawali. Zwróciłam mu na to uwagę. Zgodził się i przestał. Michalinę wytłumaczyłam, że to jest obowiązkiem pomagać oficerom, którzy walczyli w obronie ojczyzny, a teraz idą do niewoli. Ona, chociaż młoda (16 lat), była dobrą dziewczyną i miała ładną twarzyczkę.

Tak trwała praca aż do 12 października, kiedy to wszystkich jeńców skierowali do Grodziska. Tam mieli być załadowani do pociągów i pojechać do Brunzowu. Dzień był zimny, śnieg z deszczem, błoto. Zaopatrzyłam oficerów, którzy mieszkali u mnie, w gwoździe i papier, bo wagony miały powybijane szyby w oknach. Dałam talk i butelki z gorącą kawą. Otrzymałam parę kart z podziękowaniami i pozdrowieniami, ale później, jak nawiązali kontakt z rodzinami, nie pisali. Jeden tylko z tej paczki, Iornik kapitan Górski, jak wrócił z niewoli, odwiedził mnie, ale chyba tylko dlatego, że w Błoniu mieszkali jego żona i córka. Wyglądał dobrze i zdrowo.

Po wjeździe oficerów do niewoli zrobiło się cicho, pusto i bardzo smutno. Dopóki widziało się sylwetki w zielonych mundurach z rogatywkami, nie wydawało się, że jest okupacja.

Piętnastego października przyszedł Paweł Potocki, student, który w roku 1938 był na praktyce w Fabryce Zapatek. Jeździł z nami do Leśnej Podkowy i w ogóle otaczaliśmy go opieką. Powitałam go z okrzykiem,

a on palec na ustach położył, mówiąc, że zaraz przyjdzie jego brat bliźniak z kolegą, dodając, że oni pójdą do Warszawy, a on chciałby zanocować. Gdy dzieci i Michalina posnęły, wtedy on mnie spytał, czy ja mam kogoś znajomego na południu kraju, bo chcą się przedzierać za granicę. Prześledziliśmy mapę i wyznaczyliśmy trasę. Szczęśliwie im się udało dostać do Grecji. Otrzymałam od nich na początku grudnia kartę z pozdrowieniami od Pawła i Edka. W Warszawie w szpitalu im. Piłsudskiego był ich starszy brat Franciszek, którego odwiedziłam dopiero 20 grudnia. Warszawa była w gruzach i zrobiła na mnie okropnie przygnębiające wrażenie.

W połowie listopada miałam pierwszą wiadomość od męża. Haremski Edward Przybysz widział się w Pińsku z mężem i przywiózł list. Widział się z nim trzy dni temu. Mąż prowadził fabrykę i czuł się dobrze. Z mężem był w Pińsku z warszawskiej centrali A. Czumakow, którego prosił, aby po powrocie do Warszawy zawiadomił mnie, że jest zdrow i jak tylko będzie mógł, to wróci do domu. Pan Czumakow wrócił w październiku, ale mi żadnej informacji nie przekazał.

Z końcem listopada Niemcy przyprowadzili oddział naszych jeńców, a pomiędzy nimi byli nasi błoniacy: dwóch oficerów lekarzy, kpt. dr Grzegorz Nowakowski i por. dr Ładecusz Żmigród, oraz dwóch podchorążych, syn dra Nowakowskiego, Kazik, i Zbyszek Okraszewski. Żony przychodziły i gotowały dla nich, i tak było przez dwa tygodnie, aż zgromadzono większy transport i około 10 grudnia załadowano cały pociąg.

Przed ich wyjazdem szyłam całą noc z flaneli kimonowe koszule dla dziesięciu żołnierzy z Sochaczewa, których Niemcy przyprowadzili w samych mundurach. Odprowadziliśmy ich na stację, a na dworcu dostałam od jakiegoś żołdaka kolbą w bok za to, że krzyknęłam na Zbyszka Okraszewskiego, aby odwrócił się do szukającej go matki. Odjechali, ale nie wszyscy wrócili. Dr Nowakowski zmarł na tyfus w roku 1941. Jego syn Kazio wrócił, ożenił się z lekarką i ma śliczną córeczkę. Dr Żmigród wrócił, także wrócił Zbyszek Okraszewski, ale zmarł niedługo po powrocie.

Jeszcze w grudniu 1939 Niemcy przyprowadzili trzydziestu oficerów i umieścili ich w budynku żłobka i trzeba było ich dokarmiać. Moja Michalina starała się z dobrym skutkiem gotować w kuchni polowej, która była na terenie fabryki. Któregoś dnia przyniosła wiadro ryżu z kawałkami mięsa. Niemiecki wartownik jak zobaczył, że jest mięso, zabronił dać to

oficerom, mówiąc, że mięso nie jest dla jeńców. Michalina w płacz, co teraz będzie, co robić? Odpowiedziałam, aby powyjmowała mięso, przekręciła je przez maszynkę, dodała pomidorów i wszystko wymieszała. Wartownik już nie znalazł kawałków mięsa i oficerowie wszystko zjedli. Nie wiedzieliśmy, kiedy ich wywieziono, bo jakaś mądra żona przywiozła mętowni bochenek chleba, a w nim był rewolwer. Zrobił się straszny gwałt. Od tego momentu wolno było tylko rozmawiać przez płot, ale obie strony musiały być oddalone od niego o jeden metr.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Powiedziałam dzieciom, że nie będziemy sobie składać życzeń w tym roku. Przed świętami dostałam list od męża, że jest zdrow i robi starania, aby powrócić do domu, i że ma nadzieję być z nami w maju.

W końcu listopada wróciłam z miasta do domu i zastałam jakąś panią, u której na kolanach siedziała Marysia. Była to jej ciotka. Przyjechała po nią, bo dwa tygodnie temu przyszedł jakiś ksiądz i oznajmił, że Marysia jest u pani Deglerowej w Fabryce Zapatek w Błoniu. Matka dostała szoku. Piątego września pociąg z rodzinami wojskowych został zbombardowany pod Sochaczewem. Ona została ciężko ranna, straciła przytomność i została zabrana do szpitala. Jak się ocknęła, Marysi nie było. Powiedziano jej, że została pochowana we wspólnym grobie. Został nawet sporządzony akt zgonu dla Marysi Scencl. Tymczasem ona została zabrana przez strażaków i jako lekko ranna przywieziona do Błonia. Matka nie była pewna, czy to na pewno jej córeczka. Cieszyłam się, że Marysia wraca do mamy i że ona odzyskała swoje dziecko, ale z drugiej strony żał mi było się z Marysią rozstawać.

Dyrektorem w fabryce został inż. Knahe. Zorganizował z młodych ludzi oddział straży pożarnej i ulokował ich w dyrektorówce. Ćwiczył ich Bolesław Puchalski, plutonowy rezerwy. Do tej straży należał także mój starszy syn. Pracował w fabryce i jeździł do Warszawy do szkoły zawodowej na placu Trzech Krzyży, obok domu niewidomych.

Zdawało się, że w tak małym miasteczku, jak Błonie nie powinno dziać się nic szczególnego, a jednak zaczęły powstawać organizacje, by walczyć z okupantem, no i były ofiary terroru. Pierwszą był haremski Edward Przybysz. Niemcy aresztowali go w roku 1940 i osadzili w obozie na Majdanku, gdzie podczas próby ucieczki został zastrzelony. Drugą ofiarą był harcerz Kazio Gumiński. Aresztowani byli Janek Wroński i Scaś Kwiatkow-

ski. Wroniskiego wykupił ojciec i zwolnili go, a Stasia zamordowanego kolegę w 1945 roku wykopali na polu za fabryką.

Mieliśmy nielegalne gazетки, które były kolportowane przez dorosłych i młodzież. U doktorowej Nowakowskiej był gabinet kasy chorych, ale często pokoje były zajmowane przez Niemców. Jednego razu pani domu z pielęgniarką czytały gazetkę i na to wszedł oficer. Ona zrobiła ruch, jakby chciała gazetkę ukryć, i to mu wystarczyło, by powiedzieć, że jest aresztowana. Jej udało się jakoś uciec, a jej syn Władysław przyszedł do mnie i był na terenie fabryki od czerwca do końca listopada. Na początku września panie Nienstrakowa i Pikiewiczowa przyszły do mnie z nierozpoznaną na portierni panią Nowakowską.

Płonącą Warszawę w czasie powstania obserwowaliśmy z dachu naszego domu. Straszny był to widok, olbrzymia czerwona łuna i wybuchy. W dzień uciekający mieszkańcy, głodni i obdarci. U nas zatrzymywał się przejściowo z żoną urzędnik z centrali, a także brat męża z żoną i pani Nowakowska z synem. Dom był pełen ludzi. Radziliśmy sobie jednak dobrze.

W całym Błoniu w każdym domu było pełno ludzi. Mimo ciężkich warunków życie toczyło się dalej. Stale myślałam, kiedy to wszystko się skończy, czy mąż żyje i gdzie jest, bo po pół roku pracy w fabryce zapalek sowieckie NKWD aresztowało go i jako szpiega został wywieziony do obozu pod Archangielskiem. Nie miałam żadnych wiadomości, dopiero pod koniec roku 1944 dostałam depezę, która była w drodze przez rok. Były to życzenia imieninowe dla syna Andrzeja: „Życzę ci zdrowia. Czuję was wszystkich. Myślę o was. Kairo. Zamałek”.

Gdy w styczniu 1945 wojska rosyjskie i polskie zajęły Błonie i dalej posuwały się na zachód, życie powoli zaczęło się normalizować. Pracujący na poczcie mój uczeń Kłof powiedział mi w marcu, że można wysłać listy za granicę. Przypomniałam sobie adres męża i wysłałam kartkę do Kairu – Zamałek z wiadomościami o nas. Czerwony Krzyż odnalazł męża i przekazał mu ją.

Była to pierwsza od paru lat bezpośrednia wymiana wiadomości o tym, że żyjemy. Mąż dowiedział się, że jesteśmy zdrowi, mieszkamy na starym miejscu i że synowie uczą się. Starszy Władek po zdaniu matury na kompletach w Gimnazjum Górskiego był w Gliwicach na politechnice, a młodszy Jędrus robił w Błoniu małą maturę.

Zupełnie niespodziewanie, rok wcześniej otrzymałam kilka przesyłek z Portugalii z prawdziwą kawą, migdałami i rodzynkami. Wysłała jakaś firma, ale musiał być jakiś złoceniodawca. Wierzyłam, że to był mąż. Naturalnie, że w tamtym czasie luksusowe smakołyki sprzedawałam i była to dla mnie duża finansowa pomoc.

Chyba po dwóch tygodniach od wejścia do Błonia rosyjskiego wojska dostałam wiadomość, że u jednego gospodarza we wsi Kopytów, chyba pięć kilometrów od fabryki, jest rosyjski oficer Leduchowicz i ma wiadomość o moim mężu. Wiedziałam, że starsza siostra męża, mieszkająca w Moskwie, wyszła za Leduchowicza. Naturalnie razem z synami poszliśmy do Kopytowa. Wyszedł do nas młody oficer w białym kozuchu i walonkach i powiedział mi, że spotkał męża w moskiewskim metrze i jakoś dogadali się, że on jedzie do Polski, a wówczas mąż dał mu adres i prosił o odnalezienie żony i przekazanie informacji.

Podziękowałam mu za te informacje o mężu i powiedziałam do niego, że siostra mojego męża Weronika wyszła za mąż za Leduchowicza i jeżeli to jest pana matka, to ja jestem pana ciotką, a ci moi synowie są pana kuzynami. Nic na te słowa nie powiedział. Po latach okazało się, że to było tak, jak powiedziałam, a on po prostu bał się to potwierdzić. Także spotkanie w metrze było wymyślone. Informacja o mężu była prawdziwa, ale przekazana przez jego matkę, która miała wiadomość od swojego brata a mojego męża.

Mąż wrócił w pierwszych dniach grudnia 1945, transportem kolejowym z Włoch, z oddziałem trzystu żołnierzy. Po demobilizacji oddziału w Koźlu mąż spotkał się z synem Władkiem w Gliwicach i obydwaj przyjechali 10 grudnia zupełnie niespodziewanie do Błonia. Radość była wielka. Trudno było mi w to uwierzyć i cały czas myślałam, że to sen.

Od stycznia 1946 mąż przystąpił do pracy i uruchamiał produkcję zapalek w Byszczycy na Dolnym Śląsku, a następnie w Sianowie na Pomorzu. Przez parę miesięcy mąż pracował w zarządzie przemysłu zapalczanego w Krakowie, a później w Warszawie, na Mokotowie przy ulicy Kieleckiej.

W dniu 25 września przeprowadziliśmy się z Błonia do Warszawy i zamieszkaliśmy przy ulicy Małachowskiego. W ten sposób zakończyły się moje kontakty z Fabryką Zapalek w Błoni, w której mieszkalam od roku 1925.

Jerzy Oziemski

Postscriptum

Czytając wspomnienia Katarzyny Degler, trudno nie zauważyć, jak wspaniale potrafiły się znaleźć w trudnym czasie wojny kobiety z pokolenia, które budowało niepodległość Polski po 1918 roku. Cześć im i chwała.

Myślę, że w ponad siedemdziesiąt lat po tamtych zdarzeniach należałoby czytelnikom opowiedzieć bodaj pokrótce, skąd w październiku 1939 roku wzięli się w Błoniu polscy oficerowie, jeńcy wojenni. Otóż Niemcy w miarę posuwania się w głąb Polski oraz sukcesów osiągniętych w kampanii wrześniowej musieli rozwiązać problem coraz większej ilości polskich jeńców branych do niewoli. Zarówno Polska jak i Niemcy podpisały wcześniej konwencję genewską w sprawie należytego traktowania jeńców wojennych, co zmuszało wermacht do stworzenia odpowiednich warunków.

Powstały więc *Frontlager* – obozy frontowe, *Durchgangslager* (du-lag) – obozy przejściowe, *Offizierlager* (oflag) – stałe obozy dla oficerów, i *Soldatenlager* (stalag) – stałe obozy dla żołnierzy i podoficerów. Te dwa ostatnie znajdowały się głównie na terenie Niemiec, często w koszarach wojskowych, jak np. Arnswalde (Choszczno), Grossborn (Borne Sulino), ale także w wybudowanych lub przebudowanych obiektach, jak np. Woldenberg (Dobiegniewo).

W pierwszej części kampanii jeńców polskich było stosunkowo niewiele, problemy zaczęły się po honorowej kapitulacji Warszawy 28 września 1939, gdzie wzięto do niewoli bardzo wielu oficerów. Honorowa kapitulacja polegała na tym, że żołnierze i podoficerowie zwalniani byli do domu, zaś oficerowie, zachowując białą broń, czyli szable, szli do niewoli zobowiązani słowem oficerskim, że nie będą uciekali w czasie transpor-

tu do obozów jenieckich. Podobna sytuacja była kilka dni później, kiedy honorowo kapitulowała Samodzielna Grupa Organizacyjna „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. Według relacji mego ojca Wacława „droga do oflagu w Arnswalde trwała jedenaste dni, przez Radom, Jędrzejów i Stargard Szczeciński”. Z tego widać, że Niemcy (ściślej wermacht, bo zgodnie z konwencją jeńcami zajmować się mogło tylko wojsko, a nie służby policyjne) chętnie godzili się na honorową kapitulację, gdy chodziło o większe jednostki wojskowe.

Otóż Fabryka Zapalek w Błoniu – teren ogrodzony, ze stosunkowo dużą ilością pomieszczeń – została przez Niemców wybrana na taki *Frontlager*, gdzie oficerowie z obrony Warszawy dotarli konno, raczej prowadzeni, a nie konwojowani. Swoją drogę do Błonia w dniu 2 października 1939 ciekawie opisuje por. dr med. Alfred Paczkowski z 9 Pułku Ułanów Małopolskich (*Lekarz nie przyjmuje*, Warszawa 1981):

Dowódca pułku poleca ukryć sztandar pułkowy. Gdy składamy broń, jest to sterta zniszczonego żelaza; każdy żołnierz bez rozkazu demontuje swój karabin. Krótka broń znika w sposób zagadkowy. Część broni żołnierze zatapiają w jeziorze Łazienkowskim. Zostajemy rozdzieleni według miejsca zamieszkania, ja mam meldunek warszawski, więc idę z pułkiem na zachód. Ruszamy 2 października przez Pruszków do Błonia. Po drodze udało mi się oddalić od pułku, dojechałem do cegielni pod Pruszkowem, gdzie oddałem „Adwokata” [osobisty koń, chyba własny – JO] na przechowanie na parę dni jakiegoś gospodarzowi, po czym wróciłem do kolumny; koni wolnych mieliśmy dużo. Rankiem 3 października dojechaliśmy do Fabryki Zapalek w Błoniu. Tu zeszliśmy z koni i pułkami wchodziliśmy do obozu przejściowego, który mieścił się w składach desek. W ten sposób znalazłem się w „honorowej” niewoli, która dla większości trwała prawie sześć lat. Zostaliśmy rozdzieleni według stopni. Poszedłem natychmiast do dowódcy pułku, który już teraz nie miał żadnych wątpliwości i zezwolił na ucieczkę. Nawet więcej, polecił mi zaraz nawiązać ze sobą kontakt. Dopiero wieczorem, korzystając z bałaganu, opuściłem Fabrykę Zapalek i przez pole pomaszzerowałem do Błonia.

Dodam, że por. dr Paczkowski przez kilka tygodni był zastępcą komendanta wojskowego szpitala polowego w Błoniu mjr. dr. Jedliny-Jacobsona i wyprowadził przez szpital polowy kilkudziesięciu oficerów z obozu w zapalkowni (także dowódcę 9 Pułku Ułanów płk. Rudnickie-

go, późniejszego generała w Dywizji Pancerniej gen. Maczka). Takich obozów frontowych jak w zaparkowni było więcej i panowały w nich zapewne podobne warunki.

Krótko wątek osobisty: Brat mojej mamy por. Tadeusz Kulisiewicz, również wzięty do niewoli w Warszawie, nie mógł opuścić obozu, bowiem nie miał takiego dowódcy, który zwolniłby go ze słowa oficerskiego i pozwolił uciec, zatem pojechał do obozu jenieckiego w Woldenbergu na całe pięć lat. Na zakończenie jeszcze jeden cytat z książki Alfreda Paczkowskiego, wydaje mi się ważny dla samopoczucia mieszkańców Błonia z tamtych lat, a właściwie ich następców. Otóż major dr Jedlina-Jacobson

zorganizował w dość krótkim czasie pomoc dla rannych, apelując o nią do ludności Błonia i okolic. Ludność, nastrojona patriotycznie, jęła znosić masowo zapasy żywności, bieliznę i pościel. Ze wsi zaczęły nadchodzić furmanki z kartoflami, a nierzadko z mięsem. Doktor stworzył ekipy kucharzy i sanitariuszy, słowem obsługi szpitalnej. Chorzy dostawali słomę, potem sienniki, potem łóżka i pościel. Zdrowsi zostali zatrudnieni do obsługi. Najgorzej było z lekami. Do mnie należało wyciągnięcie z obozu kilkudziesięciu oficerów według spisu, który otrzymałem od Jacobsona. Byli to przeważnie oficerowie z II Oddziału [Wywiad Wojskowy – JO] ukryci w obozie.

Dodam ze swej strony gwoździ przypomnienia, że w tym czasie powstała w Błoniu konspiracyjna organizacja Służba Zwycięstwu Polski, która współpracowała z por. Paczkowskim. On sam wymienia w swojej książce Kunegundę Rzepecką, nauczycielkę ze Szkoły Powszechnej nr 2 (moją wychowawczynię; zginęła w 1944 roku od chyba jedynej bomby sowieckiej), w której mieszkaniu był punkt przerzutowy oficerów.

Chwała Wam, dzielni błoniacy tamtych lat.

Na krótko przed ostatnią korektą niniejszej publikacji dotarły do mnie dwie opowieści związane z zaparkownią, poszerzające naszą wiedzę o działalność innych osób zatrudnionych w tej fabryce, więc warto upublicznienia.

W ostatnim czasie spotkałem się u Stefana Macieja Krucińskiego z Anną Szczerbińską, córką Romany Szczerbińskiej z domu Baranowskiej, która pod pseudonimem „Kaska” była od 1940 roku przez cały okres wojny komendantką kobiecych jednostek Związku Odbudowy Rzeczypospolitej (ZOR), a później Armii Krajowej w naszym Rejonie AK Błonie-Bagno.

Bardzo dzielna to kobieta, cóż, niewiele zachowało się o niej wspomnień, co wynikało z jej konspiracyjnego stanowiska. Wielka szkoda. Anna Szczerbińska (nazywana przez nas Hanką) przekazała na moje ręce dla Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Błońskiej (do przyszłego muzeum) piękną fotografię z lat 1930-1932, o wymiarach 40 x 30 cm, oryginalnie oprawioną, przedstawiającą drewnianą trybunę naszego stadionu sportowego im. Marszałka Piłsudskiego, a przed nią sekretarza Zarządu Miejskiego Antoniego Okra-



Trybuna błońskiego stadionu sportowego, 1930-1932.
Fotografia, dar Anny i Jakuba Szczerbińskich dla TPZB

szewskiego (dziadka Hanki i Jakuba Szczerbińskich) oraz Aleksandra Cieślaka, komendanta policji w Błoniu, w galowym mundurze i przy szabli. Piękny to dar, ale jest i drugi, z którym wiąże się cała historia.

Zacznijmy od tego, że Romana Szczerbińska pracowała przed wojną w administracji zaparkowni i jak wielu innych pracowników mieszkała na terenie fabryki, a wraz z nią matka, Bolesława Baranowska, matka Apolinarego, sekretarza gminy Radzików, Haliny, z męża Krucińskiej, oraz Ro-

20 lipca 1945 r.
 Szanowna Babciu, szanowna Babciu,
 witam was i często wspominam waszą córkę, i ona
 wszystko prawidłowo mi wróżyła, i wszystko tak się stało. Ale jeszcze nie
 wiem, czy moja rodzina żyje, czy nie, nie dostawałem nic.
 Na razie do widzenia.
 Pozdrowienia dla wszystkich.
 Przyslijcie odpowiedź.
 Z ukłonem [tu słowo nieczytelne]
 Wasilij Kisieliow



List rosyjskiego żołnierza Wasilija Kisieliowa
 do Bolesławy Baranowskiej.
 Po lewej faksymile, poniżej tłumaczenie.

20 lipca 1945 r.

Witam, droga Babciu, ślę wam swoje serdeczne pozdrowienia i najlepsze
 życzenia, a najważniejsze – być zdrowym. Spieszę poinformować Cię,
 Babciu, że jeszcze na razie żyję i jestem zdrow.

Bardzo często wspominam was i często wspominam waszą córkę, i ona
 wszystko prawidłowo mi wróżyła, i wszystko tak się stało. Ale jeszcze nie
 wiem, czy moja rodzina żyje, czy nie, nie dostawałem nic.

Na razie do widzenia.

Pozdrowienia dla wszystkich.

Przyslijcie odpowiedź.

Z ukłonem [tu słowo nieczytelne]

Wasilij Kisieliow

PS [do góry nogami]

Kiedy przyjadę do domu, opiszę wszystko w szczegółach. Ze wszystkich
 nas 43 jeńców niewiele zostało żywych.

[Na kopercie adres:]

Miasto Błonie

20 km od Warszawy

Fabryka Zapalek

Bolesława Baranowska

Mój adres

Poczta polowa 67050

Kisieliow W.

[List opatrzony dwiema pieczętkami cenzury wojskowej,
 sowieckiej i polskiej].

many. Pani Bolesława za czasów carskich i po I wojnie światowej była sekretarzem gminy Pass, mówiła biegle po rosyjsku. Hanna Szerbińska przekazała nam małą kartkę cieniutkiego papieru z odręcznym rosyjskim tekstem, objaśniając, że jest to list do jej babci Bolesławy przysłany przez jednego z jeńców Armii Czerwonej, którzy pracowali na terenie Fabryki Zapalek, głównie jako służący mieszkających tu Niemców. Gdy trzymałem w ręku ten dziwny, jakże serdeczny list, przyszło mi na myśl, ilu papierosów (skrętów) musiał sobie ów Wasilij odmówić, by móc wysłać kilkadziesiąt serdecznych słów do drogiej Babci. Trzeba, bowiem wiedzieć, że żołnierze sowieccy otrzymywali przydział tytoniu (machorki), ale bibulek do robienia skrętów – już nie, stąd ciągły brak papieru, najbardziej poszukiwanego cienkiego, a ostatecznie gazetowego (była to przecież wielomilionowa armia, ileż potrzebowała bibułkowego papieru, gdy prawie wszyscy żołnierze byli palaczami).

Z treści listu wynika, że spośród 43 jeńców pracujących w zapalkowni niewielu zostało żywych, i że wszystko jest tak, jak przewidziała córka babci, Romana. Wyjaśnijmy sobie, że los, jaki spotykał żołnierzy Armii Czerwonej, którzy przeżyli niewolę niemiecką, był nie do pozazdroszczenia – w najlepszym razie karny batalion i na pierwszą linię pod dowództwem oficerów z NWKD, albo łagier na Syberii, a często po prostu strzał w tył głowy. Ten szczególny list jest również zaadresowany po rosyjsku, co w tłumaczeniu znaczy: „Miasto Błonie, 20 km od Warszawy, Fabryka Zapalek, Bolesława Baranowska”, i adres nadawcy: „Wasilij Kisieliow, poczta polowa 67050”. Ważnym elementem listu są dwa stemple, sowieckiej i polskiej cenzury wojskowej. Pytałem ofiarodawczynię listu, skąd taka serdeczność



Romana Szerbińska w czasie wojny



Bolesława Baranowska w czasie wojny

ze strony jeńca sowieckiego? Otóż według przekazu rodzinnego babcia Bolesława dała tym poniewieranym przez Niemców biedakom namiastkę ich domu rodzinnego i dlatego tak serdecznie brzmi: *dorogaja Babuszka*, i jakby skarga, że o swoich bliskich nie wie, czy jeszcze żyją.

Kiedy w styczniu 1945 roku Niemcy wycofywali się z Błonia, jedną z ostatnich jednostek było *Sprengkomando*, grupa saperów mających za zadanie niszczyć wszystkie ważne dla gospodarki obiekty. Niszczili torowiska kolejowe rozrywając podkłady, wysadzali dworce i nastawnie, palili magazyny, z których nie zdążono wywieść towarów, palili lub wysadzali w powietrze zakłady przemysłowe. Warto dodać, że taktykę spalonej ziemi pierwsi w czasach nowożytnych zastosowali Rosjanie, wycofując się przed Napoleonem, niszczyli wszystko, a nawet spalili Moskwę. Podobnie w 1915 roku, wycofując się z Polski pod naciskiem Niemców, wywozili wszystko, co się dało, a resztę niszczyli, powodując głód i biedę Polaków w dawnym zaborze rosyjskim.

Na terenie zapalkowni znalazła się ekipa, która zaczęła rozstawiać beczki z benzyną, mając rozkaz spalenia zakładu. Dyrektor fabryki inżynier Wakalski postanowił przeciwdziałać. Zlecił żonie (bardzo przystojna blondynka o imieniu Tosia) i Romanie Szerbińskiej (nie blondynka, ale też ładna), by przygotowały elegancko zastawiony stół i zaprosił kierownictwo niemieckiej ekipy na dobrze zakrapiane przyjęcie. Po negocjacjach, w trakcie których wódkę podawano w kryształowych kieliszkach, ustalono, że podpalą stojące na uboczu zabudowania ze zbożem, a zakładowa straż pożarna przystąpi do gaszenia dopiero po odjeździe Niemców. Tak też się stało, co potwierdza Władysław Degler, w owym czasie członek

tej straży, z tym, że gaszenie palącego się zboża zupełnie się nie udało, ale ochroniono sąsiednie budynki i całą fabrykę. Niemcy rozkaz wykonali, fabrykę podpalili, a że się nie spaliła, dziękujemy dyrektorowi Wakalskiemu (po wojnie profesorowi warszawskiej Politechniki), jego żonie, Romanie Szerbińskiej no i oczywiście zakładowej straży pożarnej.

Jednak chyba kieliszki były za małe, albo Niemcy wielcy służbiści, zdążyli bowiem wysadzić dworzec kolejowy, nastawnie i spalić magazyn Spółdzielni „Rolnik” koło stacji. Następnego dnia wkroczyła Armia Czerwona, a zaraz za nią dzielni zdobywcy cudzego mienia, który postanowili wynieść z terenu fabryki, co się tylko dało. I tym razem dyrektor Wakalski ze swoją damską ekipą wydał, mówiąc z rosyjska, *prijom* dla oficerów, zamiast kieliszków do wódki postawiono jednak szklanki. Usgodniono, że ponieważ fabryka może jutro ruszyć i zaopatrzyć armię w niezliczoną ilość zapalek, czerwonoarmiści rozstawia warty i przepędzą amatorów cudzego mienia. Trochę zdziwieni zachowaniem bądź co bądź „kapitalisty”, oficerowie przystali na propozycję i rzeczywiście chyba po dwóch dniach fabryka ruszyła.

Wśród błońskich kombatanów, a także kolegów ze środowiska AK „Kampinos” żywa jest pamięć o wachmistrzu Władysławie Przygodzkiem pseudonim „Żyd”, podporuczniku czasu wojny, szefie IV szwadronu ułanów dowodzonego przez rotmistrza Zygmunta Koca pseud. „Dąbrowa”, ważnej jednostki Zgrupowania Kampinos. Był to wspaniały żołnierz, prawdziwy kawalerzysta, świetnie wyszkolony i lubiany przez swoich ułanów. Pod jego dowództwem służyli błoniacy: Wacław Sobiecki „Janek”, Witold Bełkowski „Bej”, Wiesław Baranowski (wnuk Bolesławy), a także przejściowo Tadeusz Kocięcki, Tadeusz Tapczewski, Stanisław Kwiatkowski.

Znając dokonania „Żyda” na terenie Błonia w okresie październik – grudzień 1944, zastanawialiśmy się, dlaczego i jak dotarł do Błonia po rozbiciu Zgrupowania Kampinos pod Jaktorowem w dniach 28-29 września 1944 roku. Teraz już wiemy – dzięki babci Baranowskiej, że w nocy z 29 na 30 września 1944 roku do portiera Fabryki Zapalek Wiśniewskiego zgłosił się Wiesław Baranowski z drugim, również umorusanym i zabłoconym kolegą. Oba spod cywilnych kurtek wystawały mundury, a ponadto obaj mieli związane na kawalerskich butach ostrogi (obowiązkowy atrybut ułana). Powiedzieli portierowi, że oni do babci Baranowskiej. Wiśniewski, zbadawszy, że nikogo nie ma w pobliżu, wpuścił ich. Babcia i ciocia

Romana były nieco przerażone, na co wnuczek Wiesio miał powiedzieć: „Babciu, broń schowaliśmy w stercie na polu, nic się nie bójcie”. Na to babcia odpowiedziała, że mają przecież na butach ostrogi, a oni, że to nie, zaraz je zdejmą. Ciocia Romana zajęła się żołnierzami, a babcia udała się do Wiśniewskiego prosić o dyskrecję. Ten wysłuchał babci i powiedział: „Pani Bolesławo, ja tu nikogo nie wpuszczałem, więc nie ma powodu do obaw”. Taka była wtedy prawdziwa polska solidarność.

Goście pobyli kilka dni, umyci, przebrani w cywilne ubrania i zaopatrzeni w nowe dokumenty (załatwili je dziadek Okraszewski i ciocia Romana), zostali bezpiecznie ulokowani: starszy ułan Wiesław w Leśniczówce w Lesznie, jako pomocnik leśniczego, a wachmistrz Władysław Przygodzki w domu Rasalskich na Szosie (tak wtedy nazywano obecne ulice Powstańców i Sochaczewską). Halina Rasalska, podkomendna Romany „Kaśki”, została łączniczką „Żyda” i przechowywała broń, którą wachmistrz posługiwał się w czasie różnych akcji swojej grupy (kierował nią w ramach 7 kompanii Błońskiego Batalionu AK). Wiele o wcześniejszej działalności Władysława Przygodzkiego w Puszczy Kampinoskiej pisze w swoich wspomnieniach podchorąży „Bej” Bełkowski, jak chociażby o słynnej zasadzce zorganizowanej i dowodzonej przez „Żyda”, w której brali udział „Bej” Bełkowski i „Janek” Sobiecki, wspólnie obsługując elkaem, rozpędzając silny oddział niemiecki i strącając tymże elkaem niemieckiego obserwatora z konina lesznowskiej cukrowni.

Ostatnio dostałem relację Janka Jaroszewskiego „Iga” (w czasie wojny Jan Soczek, syn nauczyciela, żołnierza 1920 roku). Ten nasz kolega, żołnierz AK w 7 kompanii, w plutonie sierżanta „Bronka”, opowiedział o akcji przeprowadzonej 6 grudnia 1944. Wykonano wtedy w cukrowni „Józefów” wyrok na niebezpiecznym agencie gestapo. Akcja, którą dowodził wachmistrz „Żyd”, została przeprowadzona wzorowo i skutecznie, udział w niej wzięli obok „Żyda” i „Igi” Zdzisław Muszyński, później wieloletni komendant błońskiej straży ogniowej, i Władysław Winnicki, obaj żołnierze 7 kompanii AK. Broń przed akcją dostarczyła i po akcji odebrała Halina Rasalska, po wojnie żona „Igi”, Jaroszeńska. Władysław Przygodzki nie pogodził się z sowiecką okupacją Polski i kontynuował działalność konspiracyjną, najpierw w Mszczonowie, później w Warszawie, gdzie, przypadkowo rozpoznany i aresztowany przez UB, próbował uciekać i został zastrzelony.

Zachowało się kilka fotografii wachmistrza „Żyda” i jego żołnierzy błoniaków w Puszczy Kampinoskiej, zrobionych latem 1944 roku aparatem fotograficznym Barbary Pływaczewskiej (po ślubie – Sobieckiej). Jedną, szczególnie dla nas cenną, przedstawiamy obok: w centrum Barbara Pływaczewska (babcia Justyny Sobieckiej) w otoczeniu wachmistrza Władysława Przygodzkiego (drugi z lewej) i rotmistrza Zygmunta Koca, dowódcy szwadronu (piąty od lewej), a u stóp jej kłęczą przyszyły mąż Wacław Sobiecki i Wiesław Baranowski. Basia trzykrotnie wielokrotnie opisywany lkm (lekki karabin maszynowy), ma groźne spojrzenie (drżycie Niemcy), zaś chłopcy – raczej się uśmiechają.

Na podstawie „okruchów pamięci” Hanksi Szcherbińskiej opracował
Jerzy Oziński



Błoniacy żołnierze w Puszczy Kampinoskiej, 1944

Władysław Degler

O Fabryce Zapalek w Błoniu

Mój kontakt z Błoniem trwał do roku 1947, później raz tylko byłem tu jeszcze, na krótko, i na tym się skończyło. Całe więc moje wspomnienie zamyka się wymienionym rokiem 1947¹.

Mówiło się i pisało: Fabryka Zapalek w Błoniu, ulica Grodziska 7. Numer 7, gdyż idąc do fabryki od kościoła nie mijało się po lewej stronie ulicy Grodziskiej żadnej zabudowy, tylko łąki, dopiero za przejazdem znajdował się jakiś budynek kolejowy, za którym zaczynała się zapalkownia. Tak bowiem mówiło się na Fabrykę Zapalek, która zajmowała rozległy teren wyznaczony kwadratem o bokach około 500 metrów. Były więc za płotem kolejno: budynek żłobka i budynek mieszkalny zajmowany na parterze przez Czerskiego, a na piętrze przez Ciołka. Następna była Deglerówka, a za nią budynek i portiernia, w której urzędował Wiśniewski, pilnujący doskonale mienia zapalkowni, nikt nie mógł wynieść nic bez jego wiedzy. Ponadto pamiętam go i z tego względu, że do niego właśnie, na portiernię, codziennie z jednej z dwóch ówczesnych piekarni (Zaczka lub Rzewuskiego, ale już nie wiem, z której) chłopiec przywoził na wózku pieczywo: bułki i chleb, które my rozkupowaliśmy.

Zaraz za bramą główną zaczynała się aleja lipowa prowadząca w głąb zakładu, po jej prawej stronie znajdowała się dyrektorówka, w której mieszkał dyrektor Kozłowski, oczywiście do czasu swego urzędowania, dalej był główny budynek administracji i hale produkcyjne. W tym głównym bu-

¹ Gawęda wygłoszona 5 marca 2005 w Towarzystwie Przyjaciół Ziemi Błoniejskiej, pierwotnie: „Błoniejski Informator Samorządowy” 2005, nr 5 i 6.



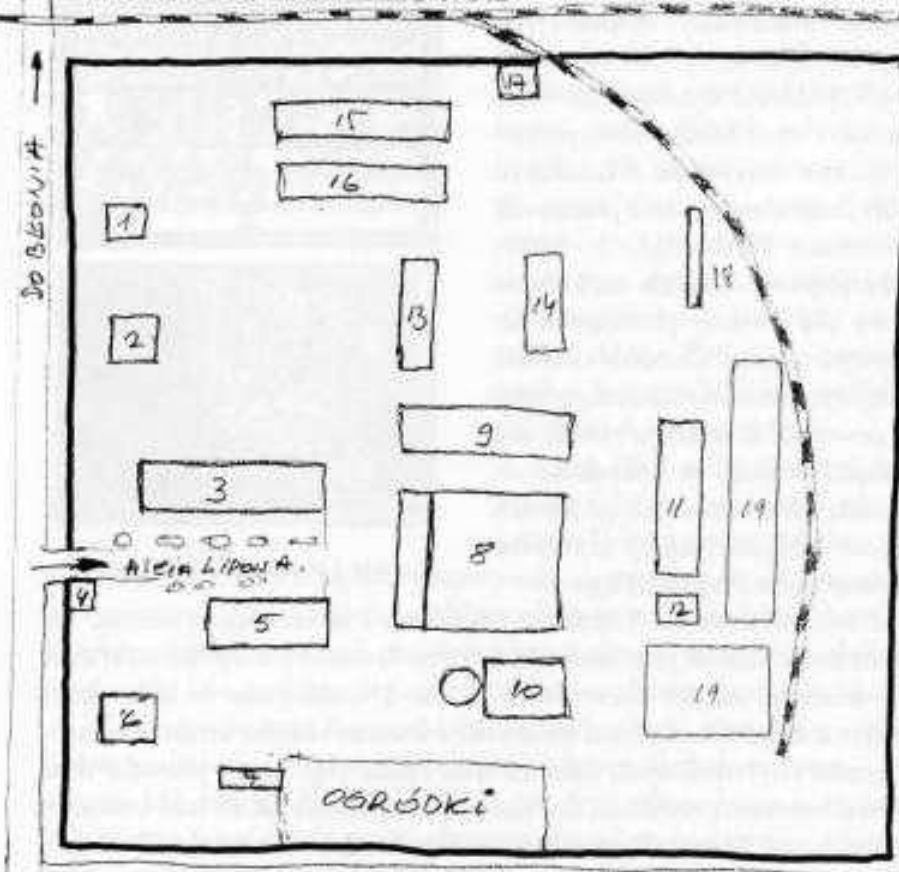
Hała produkcyjna Fabryki Zapalek, ok. 1920

dynku na dole znajdowała się stołówka i biura, a na piętrze mieszkania. Następnie była kotłownia, a po lewej kompleks głównych magazynów, drukarnia etykiet, remiza strażacka, stajnia, gdyż ruch na terenie zapalkowni odbywał się wózkami konnymi. Przy drugiej bramie znajdowała się bocznicą, ale tory ciągnęły się w głąb fabryki, zaś przy bramie mieszkał z rodziną Seler, który obsługiwał tę bramę. W głębi znajdowały się ogródki pracownicze, na których sadzono warzywa i gdzie rosły drzewa owocowe.

Zakład powstał pod koniec XIX wieku, chociaż ta data nie ma pewnego potwierdzenia, bywa więc przesuwana nieco w wiek dwudziesty (ok. 1905). W każdym razie na początku XX wieku na ziemiach polskich było sześć fabryk zapalek skupionych w Polskim Monopolu Zapalczanym, istniejącym do 1933 roku. Kiedy jednak sprzedano fabryki Szwedowi Kreugerowi, ten wkrótce zlikwidował dwanaście z tych fabryk, pozostawiając zaledwie cztery, w tym naszą błońską. Produkowała ona jednak zapalki wyłącznie na rynek krajowy, rynki zagraniczne obsługiwały inne fabryki Kreugera. Centrala na Polskę mieściła się w Warszawie przy ulicy Królewskiej 4, dziś jest w tym miejscu hotel Victoria.

Szkic terenu ZAPALKOWNI

Kolp/ do NARSZANY



- | | |
|--|---|
| 1 Żłobek | 10 Kotłownia z kominem |
| 2 Dom mieszkalny (Czerski, Ciolek) | 11 Remiza Straży Pożarnej, mieszkanie Suwały |
| 3 Dom mieszkalny (Degler, Sztajnduchert, Platkowski) | 12 Sanitariat |
| 4 Brama główna, portiernia | 13, 14, 15, 16 Magazyny |
| 5 Budynek administracyjny | 17 Dom mieszkalny (Seler) |
| 6 Dyrektorówka | 18 Schrony przeciwlotnicze |
| 7 Szklarnia | 19 Składowiska pni drzew, surowca do produkcji (zwane „rejami”) |
| 8 Główny budynek produkcyjny | |
| 9 Magazyn | |

Na terenie błońskiej zapalkowni mieszkali pracownicy dyspozycyjni, jak np. Krynkie, który miał trzy córki, a gdy Krynkwie wyjechali do Mszczonowa, z tegoż Mszczonowa przyjechał majster Burczyński. Mieszkał tu też Jan Sztajnduchert oraz pracownik administracji Płatkowski, do którego obowiązków należało ustawianie zegarów dla stróżów pilnujących fabrycznego mienia. Chodzili ci stróże według wyznaczonej marszruty, a żeby była pewność, iż solidnie pełnią swe obowiązki, musieli w wyznaczonych miejscach i w określonych godzinach nakręcać specjalne zegary kontrolne ustawiane przez Płatkowskiego.

Z Mszczonowa przyjechał też Olenderek i został magazynierem. Pamiętam doskonale, że miał hodowlę zwierząt futerkowych i pokazywał nam takie zwierzęta, jak np. szynszyle czy nutrie. Dla chłopców to była wielka atrakcja. Z kolei Czerski miał motocykl z koszem (wielka atrakcja w tamtym czasie) i był myśliwym, miał też syna Tadka. Jego ojciec pozwalał nam czasem potrzymać prawdziwą dubeltówkę i popatrzeć, jak się robi amunicję do takiej broni. Mieszkali też na terenie zapalkowni Wiśniewski i Suwała.

Ci wszyscy mieszkańcy tworzyli małą fabryczną społeczność, wyizolowaną trochę od Błonia, do którego jednak przecież także należeli. I tak to trwało aż do 13 września 1939 roku, kiedy weszli Niemcy.

Jan Smoliński pisze w swej książce *Region Błonie w walce z okupantem hitlerowskim 1939-1945* (Błonie 1994), że 13 września 1939 roku do Błonia przyszło SS, tymczasem najpierw byli to żołnierze wermachtu. Gdy się zaczęła wojna, mojego ojca nie było w Błoniu, gdyż wcześniej wyjechał służbowo do fabryki zapalek w Pińsku i tam został. Zobaczyliśmy się dopiero w 1945 roku. Wszedł więc wermacht, a po trzech dniach jeden z tych żołnierzy powiedział nam, żebyśmy byli teraz ostrożni, bo przyjdzie SS. Gdy przyszli, to pamiętam taką scenę, jak przynieśli mojej matce kury i kazali ugotować. A gdy już jedzenie było na stole, to najpierw matka musiała przy



Etykiety z błońskiej Fabryki Zapalek



nich spróbować, żeby mieli pewność, iż to nie jest zatrute, dopiero wtedy oni jedli. Ledwie jednak zaczęli się posilać, wpadł jakiś żołnierz z krzykiem: „Jude”. Rzucili jedzenie i pobiegli, a gdy wrócili, na stole znalazło się zawiniątko z biżuterią i złotem. Jeden z tych esesmanów przechwalał się, że stary Żyd dał mu złoto i prosił o darowanie życia, i że złoto owszem zabrał, ale ten Żyd i tak poszedł do piachu. Rozstrzelali ich za ogródkami i chyba tam ich pogrzebano.

Od 1941 roku zacząłem pracować w fabryce, ojca nadal nie było, a trzeba było za coś żyć. Miałem wtedy

piętnaście lat. Oprócz zapłaty otrzymywało się za pracę deputat zapalczany, który wynosił jeden kamień zapalek, a taki kamień, jeśli dobrze pamiętam, liczył dwadzieścia dziesiątek pudełek; kosztował zaś w wolnej sprzedaży pięćset złotych. Dla porównania, moja tygodniowa płaca wynosiła 16,50 zł.

Najpierw majster Burczyński skierował mnie do kowala Barańskiego. Był to analfabeta, umiejący się jedynie podpisać, ale jednocześnie – kowal artysta. Do dziś w błońskim kościele jest jego roboty krata kuta ręcznie, w kaplicy w lewej nawie, przed ołtarzem. Zostałem więc pomocnikiem kowala, operującym młotkiem pięciokilowym. Dla tych, co zupełnie się nie orientują w kowalskiej robocie, powiem tylko, że aby na przykład zrobić siekiere, bierze się dwa kawałki metalu: twardą stal – na ostrze tej siekiery, i miękkie żelazo – na jej obuch, i rozgrzewa się je w kotlinie (w piecu) w temperaturze około 900 stopni, po czym hiciuje, czyli po prostu skłdea na gorąco poprzez kucie. W piecu pali się węglem, a jeszcze lepiej koksem, dmuchając miechem dla lepszego żaru, aż polecą iskierki. Żeby lepiej leciały, Barański rzucał do ognia garść piasku, a pytany, po co to robi, odpowiadał, że nie wie po co, ale tak robił jego dziadek kowal i jego ojciec, też kowal, więc i on tak robi, i nie pytaj po co i po co, bo tak trzeba.

Uczeń kowalski przechodzi różne próby, jedna z nich to pocałowanie młota. Niech ktoś weźmie jedną ręką za koniec trzonka młot pięciokilowy

i przybliży go sobie do ust, jakby do pocałowania, a będzie wiedział, jaka to trudność.

A potem przeszedłem do Kilena, na tokarkę. Dziś już nie ma takich tokarek, na jakich wtedy się pracowało. Wielka maszyna z wielkim wrzcionem i uchwytem, w który mocowano kawałek drewna i pokręcając jednocześnie dwiema rączkami suportów, poprzecznego i podłużnego, ale pokręcając w przeciwnych kierunkach i z różną prędkością, formowało się nożem z obracającego się kawałka drewna na przykład rączkę do pilnika, czyli *heft*, jak mówił majster. Pamiętam pierwszy taki mój heft, o którym Kilen, gdy go obejrzał, powiedział krótko, że heft to może i jest, ale trudno będzie trzymać takie gówno w ręku.

Tak dopracowałem w zapalkowni do roku 1945, kiedy to pojechałem do Lublina na politechnikę. I tam właśnie, w Lublinie, zaraz po przyjeździe dowiedziałem się, że wojna się skończyła. Kto to przeżył, pamięta tamtą radość. Potem pojechałem do Gliwic, a później, już jako inżynier, wyładowałem w Ursusie, gdzie doceniłem całą moją techniczną praktykę w zapalkowni. Nie byłem zielony, jak inni koledzy inżynierowie, którzy nie potrafili nic zrobić na tokarce.

Ojciec wrócił do Błonia, ale nie na długo, wkrótce znalazł się w Krakowie, w ówczesnym Zjednoczeniu Dyku, Sklejek i Zapalek (tak się chyba nazywało), a następnie w tymże zjednoczeniu w Warszawie, przy ul. Kieleckiej, więc rodzice zamieszkali na Madalińskiego, żeby mieć blisko. Wtedy to właśnie raz jeden przyjechałem do Błonia z ojcem, na krótko. Wiem, że w tym czasie wybudowano w zapalkowni dwie nowe hale i że wkrótce po tej rozbudowie zapadła decyzja o zaprzestaniu produkcji zapalek. A później w podobny sposób zaniechano produkcji najpierw zegarków, a następnie urządzeń peryferyjnych.

Jeszcze o produkcji zapalek. Robiono je z drewna osiki, które przyjeżdżało pociągiem (tory prowadziły aż w głąb fabryki), a następnie kłody trafiały pod pilę, gdzie cięto je na mniejsze klocki, odrzucając wszystkie odcińki z sękami (te szły do kotłowni, razem z korą), transportował je Suwała. A później klocki drewna szły do parowni, gdzie je zmiękczano, by łatwiej pozbyć się kory. I wreszcie na huszczarkę, na której specjalnymi nożami zdejmowano z obracającego się pnia kolejne warstwy drewna o różnych grubościach, innych na pudełka, innych zaś na same zapalki. Wszystkie maszyny były poruszane silnikiem parowym o mocy 150 koni mechanicznych.

Nazwiska niektórych pracowników: Osiński i Szczesniak – palacze, Jan Zacharski – główny maszynista, Kacprzak – ładownice, Bartosik – nosił do pieca odpadki, korę.

W fabryce były sekcje wynikające z poszczególnych faz produkcji: półfabrykaty do produkcji pudełek i saniych zapalek. Drewnienka na zapalki trafiały na taśmę ze sztabkami, w nich były otworki, do których wpadały zapalki i tak prowadzone, moczyły się w fosforze. Produkowano nie tylko zwykłe zapalki, ale i książeczkowe, fajkowe, sztormowe i gabinetowe. A w późniejszym okresie także zapalniczki. Fabryka zatrudniała około 120 osób.

W latach dwudziestych był wypadek, w którym śmierć poniosły trzy dziewczyny. Miał miejsce w fazie poprawiania ułożenia zapalek w ładownicy, co robiono, prostując zapalki ostrym metalowym szpikulcem. I wtedy właśnie doszło do zapłonu. Później tę operację wykonywano w maskach i w specjalnych kitalach.

Zakład organizował wycieczki dla pracowników: Orłowo, Brenna, Zaleszczyki. Myślę, że w błoniskiej zapalkowni wynaleziono Fundusz Wczasów Pracowniczych. Działał też żłobek, przedszkole, biblioteka.



Ppor Leon Degler (z. lewej) i Teofil Degler. 2 Korpus Polski w Iraku, 1943

Władysław Degler

Deglerowie

Julian Degler, felczer, z żoną Teofilą i synem Piotrem przyjechał w roku 1872 z Kruszwicy (wówczas zabór pruski) do Błonia (zabór rosyjski). W roku 1891 Piotr ożenił się z Walerią Smolińską, jedną z pięciu córek gospodarza z Radzikowa. Mieszkali w Błoniu, Piotr był pomocnikiem maszynisty na kolei warszawsko-wiedeńskiej, a następnie przeprowadził się do Mławy i tam pracował jako maszynista, tam też urodziły się dzieci: Arkadiusz, Weronika i Leon. W roku 1904 Piotr z rodziną przeprowadził się do miejscowości Złotoust na Uralu, gdzie został naczelnikiem parowozowni. Tam urodził się syn Teofil i dwie córki, Maria i Józefa.

Po wybuchu Rewolucji Październikowej Piotr z synami Leonem i Teofilem wstąpili do organizowanego na Syberii polskiego wojska i zostali przydzieleni do 5 Dywizji Syberyjskiej, w której Piotr został maszynistą jednego z trzech pociągów pancernych; walczyli z Armią Czerwoną dowodzoną przez marszałka Tuchaczewskiego. Dywizja kapitulowała w grudniu 1919, a żołnierze dostali się do niewoli i pracowali w karnych jednostkach.

Jako jeńiec Teofil pracował z innymi polskimi żołnierzami przy naprawie torów kolejowych. Któregoś dnia zobaczył na stacji stojący pociąg towarowy jadący na zachód. Na parowej lokomotywie wisiały pęki suszących się ziół. Teofil wiedział, że ojciec amatorsko zajmował się homeopatią. Ale przecież ojciec dostał się do niewoli, podobnie jak jego dwaj synowie? Jednak okazało się, że był to ojciec, któremu jako maszyniście kolejowemu władze sowieckie, z braku fachowców, zleciły pracę w swoim zawodzie bez żadnego dozoru. Naturalnie, Piotr „ukradł” Teofila i chowając go w lokomotywie, dowiózł do Moskwy.

Po podpisaniu w 1921 roku traktatu ryskiego Leon i Teofil przyjechali do Polski, do Błonia i Grodziska, gdzie mieszkała ich ciotka, żona mistrza kamieniarskiego. Leon, mający wykształcenie techniczne, znalazł pracę w Fabryce Zapalek w Błoniu, a Teofil wyjechał do Sosnowca, gdzie pracował jako księgowy.

27 sierpnia 1939 Leon wyjechał służbowo do fabryki zapalek w Pińsku i tam zastała go wojna. W październiku lub listopadzie przyszła od niego wiadomość, że nadal pracuje w fabryce. Następna wiadomość nadeszła dopiero w lutym 1945.



Stalinowski gulag nad rzeką Kołwą w obwodzie permskim (Ural Zachodni). Akwarela, dar Marii i Jerzego Bezpalków dla TPZB

Okazało się, że Leon został 22 marca 1940 aresztowany przez NKWD i „jako element społecznie niebezpieczny” skazany przez kolegium specjalne przy NKWD na osiem lat pobytu w obozie karnym w Konicgorie nad rzeką Dźwiną, 300 kilometrów na południe od Archangielska. Pracował tam przy wyrębie lasu.

Wkrótce Leon został ponownie aresztowany i skazany „jako wróg ludu” na karę śmierci. Przypuszczalnie władze obozu doszukały się wcze-

śniejszego życiorysu Leona i dlatego wydały na niego wyrok, który szczęśliwie nie został wykonany, ponieważ gen. Władysław Sikorski podpisał układ ze Stalinem (grudzień 1941). W jego następstwie przebywający w obozie Polacy usłyszeli, że „nie są już wrogami ludu, lecz sojusznikami” i że mają się udać do Archangielska, a dalej do Buzuluku w Kazachstanie, gdzie jest formowana armia gen. Andersa, polska armia. Władze obozu nie zapewniły pełnego transportu „sojuszników” do Archangielska, zwalniano jedynie pojedynczo lub po dwie osoby, zmuszając je do przebycia pieszo 300 kilometrów przy 30-stopniowym mrozie.

Leon wyszedł z obozu z kolegą 25 grudnia 1941 roku, niestety, jego towarzysz nie dotarł na miejsce. Leona od zamarznięcia uratowała napotkana chałupa, której światła zobaczył w nocy. Po dotarciu do Archangielska i parotygodniowej rekonwalescencji, 28 stycznia 1942 Leon przyjechał do Buzuluku. Jako oficera piechoty przydzielono go w lipcu 1942 do 7 Dywizji Piechoty stacjonującej w Kermine (Uzbekistan).

We wrześniu 1939 roku Teofil został zmobilizowany, jego jednostka wojskowa stacjonowała na Wołyniu, tam też dostał się do niewoli. Po podpisaniu układu Sikorski – Stalin polscy żołnierze zostali zwolnieni. Teofil zgłosił się do armii Władysława Andersa, jako saper został skierowany do takiegoż pułku, który stacjonował kilkaset kilometrów na wschód od Kermine, gdzie był Leon. Bracia o swych losach wiedzieli, ponieważ kontaktowali się z ojcem, który w tym czasie mieszkał w Brańsku.

Wiadomość o tworzeniu przez gen. Andersa polskiej armii spowodowała masowe zgłaszanie się byłych żołnierzy, funkcjonariuszy policji, Korpusu Ochrony Pogranicza i innych, często z rodzinami, co stanowiło duży problem, ponieważ władze radzieckie przydzielały racje żywnościowe jedynie dla wojska. By ukrócić częste przypadki dokarmiania przez żołnierzy swych rodzin mieszkających w pobliskich kołchozach, na żądanie władz radzieckich polskie dowództwo wydało rozkaz grożący sądem wojskowym i skazującym wyrokiem. Był przypadek, że za kradzież garnka śmietany żołnierz został skazany na karę śmierci i wyrok wykonano.

W miarę wzrostu liczebności polskiej armii następowało ochłodzenie stosunków z władzami radzieckimi. Przy pomocy władz brytyjskich, argumentujących, że roponośne zagłębie na Bliskim Wschodzie jest zagrożone (Niemcy już atakowali Kaukaz), gen. Anders zaproponował skierowanie tam Polaków. Z oporami, jednak Stalin zgodził się na ewakuację armii Andersa,

co nastąpiło od 9 sierpnia do 1 września 1942, przez Morze Kaspijskie do portu Pahlevi w Iranie. Następnie oddziały wojska zostały przeniesione na pustynne tereny Iraku i rozmieszczone tam w obozach pod namiotami.

Pociąg wiozący polskich żołnierzy do jednego z portów na wschodnim brzegu Morza Kaspijskiego zatrzymał się na stacji kolejowej, na której stał pociąg wiozący na wschód ewakuowanych mieszkańców Moskwy. Z tego pociągu wysiadła siostra Leona i Teofila i z czajnikiem szła po wrzątek (*kipiatok*). Zauważywszy polskich żołnierzy spytała, czy nie znają Leona i Teofila Deglerów? Usłyszała odpowiedź, że Leona nie znają, ale Teofil jest w tamtym wagonie. W ten przypadkowy sposób po ponad dwudziestu latach siostra spotkała brata.



Gen. Władysław Anders i dzieci uratowane z ZSRR
(wg: *General Anders*, London 1990)

Bracia wiedzieli, że obaj są w Iraku, ale nie znali lokalizacji swoich oddziałów. Pewnego dnia Leon był w namiocie z innymi oficerami, kiedy usłyszeli wołanie: „Pukam! Pukam!” – co było normalne, bo w brezent namiotu nie można było pukać. Na zaproszenie wszedł do namiotu młody podchorąży i spytał, który z panów oficerów nazywa się Leon Degler, po czym podał Leonowi lokalizację jednostki saperskiej Teofila. Zaskoczony Leon podziękował, pytając, skąd wiedział, że on jest tutaj? „Tego, panie poruczniku, nie wiedziałem, ale przechodząc koło namiotu usłyszałem śmiech, taki jak

Teofila, a wiedziałem, że ma on brata Leona i że nie zna miejsca postoju jego jednostki”. W tak niecodzienny sposób bracia nawiązali ze sobą kontakt.

W tym czasie na terenie Egiptu, Syrii i Palestyny przebywały polskie oddziały wycofane spod Tobruku i walk o El Ghazalę. Nastąpiło rozformowanie starych jednostek i powołanie nowych. W następstwie tych decyzji oddział ojca został przegrupowany na teren obecnego Egiptu i Palestyny, które w tamtym czasie stanowiły protektorat brytyjski. W latach 1944-1945 ojciec był oficerem Samochodowej Bazy Remontowej II Korpusu Polskiej Armii na Bliskim Wschodzie i we Włoszech, a do jego zajęć należało, między innymi, szkolenie motocyklistów. W lipcu 1945 zgłosił chęć powrotu do Polski, a w sierpniu został komendantem obozu koło Neapolu, skupiającym żołnierzy wracających do kraju, do którego powrócił w pierwszych dniach grudnia 1945. O okolicznościach tego powrotu pisze w swych wspomnieniach Katarzyna Degler.



Katarzyna Degler

Urodziła się 20 lutego 1896 w Tepliku na Podolu (za granicą Polski z 1939 r.), jako pierwsze dziecko Bazylego Słomińskiego i Barbary z Raczkowskich. W Kijowie 23 lipca 1917 ukończyła kurs nauczycielski i przez dwa lata była nauczycielką na Wołyniu i na Podolu w szkołach w Berezowie i Annopolu. Razem z polskimi wojskami

wycofującymi się z Kijowa 28 czerwca 1920 wyjechała do Warszawy, gdzie pracowała od 1 marca 1921 w Szpitalu Ujazdowskim jako „siostra oświatowa”, a następnie, już w cywilu, jako nauczycielka w szkole w Miedniewiczach Klasztornych niedaleko Żyrardowa i w Szkole Powszechnej nr 2 w Błoniu.

W roku 1925 wyszła za mąż za Leona Deglera, 31 grudnia 1925 zakończyła pracę w szkole. Urodziła dwóch synów, Władysława (23 czerwca 1926) i Andrzeja (8 kwietnia 1930). W Błoniu udzielała się w różnych pracach społecznych w mieście i fabryce

Najtrudniejszym okresem w życiu Katarzyny był okres okupacji, ponieważ sama musiała się troszczyć o dorastających synów, nie mając żadnych informacji o mężu, który w sierpniu 1939 wyjechał służbowo do fabryki zapalek w Pińsku. Kilka lat po powrocie Leona do domu rodzina Deglerów przeprowadziła się do Warszawy. Katarzyna zmarła 17 września 1982 roku. Jest pochowana obok męża na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.



Leon Degler

Urodził się 11 kwietnia 1898 w Mławie jako trzecie dziecko Piotra Deglera i Walerii Antoniny ze Smolińskich. W roku 1904 rodzina Deglerów wyjechała do miejscowości Złotoust na Uralu. Tam chłopiec chodził do szkół i tam też: „Leon Degler decyzją rady pedagogicznej szkoły z dnia 27 lutego 1918 zaszczycony został tytułem technika specjalności mechanicznej, ze wszystkimi prawami i przywilejami związanymi z tym tytułem”. W tym samym roku został studentem politechniki w Tomsku.

Na wezwanie Polskiego Komitetu Wojennego Leon wraz z ojcem Piotrem i bratem Teofilem wstąpił do polskiego wojska na Syberii. Wszyscy trzech walczyli z oddziałami Armii Czerwonej, po kapitulacji Dywizji Syberyjskiej zostali wzięci do niewoli. Bracia przyjechali do Polski zwolnieni z niewoli na mocy traktatu ryskiego z roku 1921. Zatrzymali się w rejonie Warszawy, ponieważ w Grodzisku mieszkała ich ciotka, żona mistrza kamieniarskiego. Leon dostał pracę w Fabryce Zapalek w Błoniu. W roku 1925 ożenił się z Katarzyną Słomińską, nauczycielką w Szkole Powszechnej nr 2.

Niezależnie od pracy zawodowej Leon działał w Błoniu społecznie. W połowie lat trzydziestych był wiceburmistrzem (za kadencji burmistrza dra Grzegorza Nowakowskiego). 27 sierpnia 1939 wyjechał służbowo do Pińska. Losy wojenne Leona opisano powyżej. Po zakończeniu wojny powrócił do kraju w grudniu 1945 i rozpoczął pracę w Zjednoczeniu Dykt, Sklejek i Zapalek z siedzibą w Krakowie, a następnie w Warszawie przy ul. Kieleckiej na Mokotowie. Uruchamiał produkcję zapalek w fabrykach na Dolnym Śląsku i w Sianowie.

Zmarł 10 stycznia 1973 roku. Został pochowany w Warszawie na cmentarzu Bródnowskim.

Władysław Degler

Urodził się w Warszawie 23 czerwca 1926 jako syn Leona i Katarzyny. W roku 1938 ukończył sześcioklasową Szkołę Powszechną nr 2 w Błoniu, później uczęszczał do Gimnazjum Wojciecha Górskiego w Warszawie. Po zakończeniu działań wojennych w 1939 roku kontynuował naukę na kompletach tajnego nauczania zorganizowanych przez nauczycieli gimnazjum. Począwszy od roku 1941 do maja 1945 pracował w Fabryce Zapalek w różnych jej działach. W tym czasie kierownictwo fabryki zorganizowało w zakładzie sekcję Zawodowej Straży Pożarnej, której został członkiem, podobnie jak i inni chłopcy. Fabryka Zapalek miała wtedy sta-



Władysław Degler oraz Zofia i Władysław Nowakowscy, sierpień 1998

tus zakładu ważnego dla wojny (*Kriegs wichtiger Betrieb*). W tym czasie z kolegami z tajnego kompletu został członkiem batalionu szturmowego AK „Odwet”. Noszenie munduru strażaka z takiego zakładu w razie ulicznych łapanek dawało szansę na ocalenie. Przekonał się o tym trzykrotnie, kiedy niemieccy żandarmi, po zatrzymaniu w Warszawie i wylegitymowaniu, jako strażaka z *Kriegs wichtiger Betrieb* zwolnili go ze słowami: „*Los! Nach Haus!*” (Wolny! Do domu!). Po zrobieniu matury na wiosnę 1944 przestał jeździć do Warszawy, został wcielony do 7 Kompanii AK w rejonie „Bagno” w Błoniu.

Po zakończeniu działań wojennych, począwszy od 9 maja 1945 rozpoczął studia na Politechnice Warszawskiej w Lublinie, a następnie Politechnice Śląskiej w Gliwicach, dyplom mgra inż. mechanika otrzymał w marcu 1950 na Politechnice w Warszawie. Po studiach rozpoczął pracę w Zakładach Mechanicznych „Ursus”, pracował sześć lat na różnych stanowiskach.

6 stycznia 1952 ożenił się z Kazimierą Kubałą i zamieszkał w Ursusie. 24 listopada 1953 urodziła się córka Katarzyna, a 15 września 1957 syn Grzegorz.

Pracował kolejno jako główny inżynier w Warszawskiej Fabryce Motocykli (1955-1961), w Biurze Projektów i Dostaw Inwestycyjnych, w 1962 roku jako główny inżynier kontraktu wyjechał z ekipą specjalistów do New Delhi (Indie), gdzie kierował instalowaniem polskich maszyn, produkcją części motocykli i ich montażem. Po powrocie do kraju pracował przez trzy lata w fabryce Wytwarzania Proszków Żelaza w Łomiankach, a następnie w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego „Polmot” na stanowisku zastępcy dyrektora Biura Licencji i Kooperacji, a później także na innych dyrektorskich stanowiskach, aż do przejścia na emeryturę w 1986 roku.

Roman Nowoszewski

Z historii polskich zapalek

Pierwszą na ziemiach polskich fabrykę zapalek zbudowano w roku 1828 w Warszawie. Niecałe sto lat później istniało ich już dziewiętnaście w całej Polsce. W 1925 roku Sejm Ustawodawczy upaństwowił tę gałąź przemysłu i utworzył Polski Monopol Zapalczany. Wkrótce też szwedzki „król zapalczany” Ivar Kreuger wziął w dzierżawę 75% produkcji polskich zapalek. Ivara Kreugera nazwano „dziadkiem wszystkich przekrętów na wzór Ponziego i Madoffa”. Najpierw zarobił na amerykańskich inwestorach, a następnie udzielał pożyczek europejskim rządowi w zamian za monopol na produkcję zapalek.

W 1922 roku Kreuger kontrolował niemal cały rynek zapalczany w północnej Europie i rejonie państw nadbałtyckich. Jednak w kilku państwach, w tym Polsce, istniał już państwowy monopol. Szwed znalazł sposób na jego przejęcie. Zaoferował pomoc krajom, które popadły w kłopoty finansowe, żądając w zamian monopolu na produkcję zapalek. W ten sposób zmonopolizował rynki piętnastu państw, w dziewiętnastu kolejnych osiągając pozycję dominującą. Tygodnik „Time” w marcu 1932 roku podał, że w 1925 roku Kreuger pożyczył Polsce sześć milionów dolarów, co zdaje się być sumą niewielką w porównaniu ze 125 milionami pożyczonymi Niemcom w 1929 roku. Do kolejnej pożyczki, tym razem w wysokości dwustu milionów złotych, przyczynił się minister skarbu Ignacy Matuszewski. Zaraz po przejęciu w Polsce przemysłu zapalczanego cena zapalek drastycznie wzrosła, a ich zużycie zmalało z 44 do 27 miliardów sztuk rocznie. Kreuger stał się właścicielem banków, wydawnictw i fabryk, lecz krach na nowojorskiej giełdzie w 1929 roku zrujnował podstawy jego

operacji finansowych. Znalazł się w beznadziejnej sytuacji, a świadom porażki niemal na wszystkich frontach, 12 marca 1932 roku popełnił samobójstwo, zabijając tym samym mit o potęgze „króla zapalczanego”.

Po II wojnie światowej istniało w Polsce kilka zakładów produkujących zapalki, wszystkie były państwowe, między innymi w Bystrzycy Kłodzkiej, Sianowie, Czechowicach i Błoni, gdzie na początku lat pięćdziesiątych zlikwidowano produkcję, lokując w opuszczonych budynkach fabrycznych Zakłady Mechaniczno-Precyzyjne.

Indeks

Anders Władysław 41, 42
 Andrzejewski, oficer 14
 Antosiewicz Stefan 8

Baranowska Bolesława 23, 25-29
 Baranowski Apolinary 23
 Baranowski Wiesław 28-30
 Barański, kowal 35
 Bartosik, prac. zapalkowni 37
 Bekier, oficer niemiecki 10, 12
 Belkowski Witold, ps. Bej 28, 29
 Bezpalko Jerzy 40
 Bezpalko Maria 40
 Broniek, zob. Żmudziński J.
 Burezyński, majster 34, 35

Cieslak Aleksander 23
 Ciolek, prac. zapalkowni 12, 31, 33
 Czernski Stefan 31, 33, 34
 Czernski Tadeusz 34
 Czarnakow A. 16

Degler Andrzej 8, 10, 14, 16, 18, 44
 Degler Arkadiusz 39
 Degler Grzegorz 47
 Degler Józefa 39
 Degler Julian 39
 Degler Katarzyna 47
 Degler Katarzyna, ur. Słomińska 5-20, 34, 36, 43-46
 Degler Kazimiera, ur. Kubala 47
 Degler Leon 5-9, 16-19, 33-36, 38-46
 Degler Maria 39
 Degler Piotr 39, 45
 Degler Teofil 38-45

Degler Teofila 39
 Degler Waleria Antonina,
 ur. Smolińska 39, 45
 Degler Weronika 19, 39, 42
 Degler Władysław 5-10, 14, 16-19, 27, 31, 39, 44, 46

Falkiewicz, kpt. 15

Górski, kpt. 14, 15
 Gumiński Kazimierz 17

Jaroszeńska Halina, ur. Rasalska 29
 Jaroszewski Jan, zob. Soczek J.
 Jaworski Wiktor 5
 Jedlina-Jacobson Wojciech 21, 22

Kacprzak Dionizy 37
 Keller Kurt 11
 Kilen (Tadeusz ?) 36
 Kisieliów Wasilij 25, 26
 Kleeberg Franciszek 21
 Kłof, prac. poczty 18
 Knahe (Henryk ?) 17
 Koc Zygmunt, ps. Dąbrowa 28, 30
 Kociński Tadeusz 28
 Kozłowski, dyr. zapalkowni 31
 Kozłowski, kpt. 15
 Krueger Ivar 32, 48
 Krucińska Halina, ur. Baranowska 23
 Kruciński Stefan Maciej 22
 Krynkie, prac. zapalkowni 34
 Kulisiewicz Tadeusz 22
 Kwiatkowski Stanisław 17, 18, 28

Leituchowicz, oficer ros. 19

Maczek Stanisław 22
 Matuszewski Ignacy 48
 Michalina, służąca 9, 10, 12, 13, 15-17
 Muszyński Zdzisław 29

Niemstak Józef 8
 Niemstakowa 18
 Nowakowska Zofia,
 matka Władysława 18
 Nowakowska Zofia,
 żona Władysława 46
 Nowakowski Grzegorz Witold 16, 45
 Nowakowski Kazimierz 16
 Nowakowski Władysław 18, 46
 Nowoszewski Roman 5, 48

Okraszewski Antoni 8, 23, 29
 Okraszewski Zbigniew 16
 Olenderek Stefan 34
 Osiński (Bolesław ?) 37
 Oziński Jerzy 6, 20, 22, 30
 Oziński Wacław 21

Paczkowski Alfred 6, 21, 22
 Piskiewicz Władysław 8
 Piskiewiczowa 18
 Piatkowski, prac. zapalkowni 33, 34
 Pokalowa, blonianka 9
 Porocki Edward 16
 Potocki Franciszek 16
 Potocki Paweł 15, 16
 Przybysz Edward 9, 16, 17
 Przygodzki Władysław, ps. Żyd 28-30
 Puchalski Bolesław 17

Rasalscy 29
 Rasalska Halina, zob. Jaroszeńska H.
 Rowiński, oficer 14
 Rudnicki Klemens 21
 Rzepecka Kunegunda 22

Scencel Anna 8, 17
 Scencel Antoni 8
 Scencel Maria 8, 9, 14, 15, 17
 Seler, prac. zapalkowni 32, 33
 Sikorski Władysław 41

Słomińska Barbara, ur. Raczkowska 44
 Słomiński Bazyl 44
 Smoliński Jan 34
 Sobiecka Barbara, ur. Pływaczewska 30
 Sobiecka Justyna 30
 Sobiecki Wacław, ps. Janek 28-30
 Soczek Jan (później: Jaroszewski),
 ps. Iga 29

Szalin Józef 41
 Sępowka, blonianka 14
 Suwała Stanisław 33, 34, 36
 Szczepiński (Feliks ?) 37
 Szpakowski Michał 8
 Szerbińska Anna 6, 22, 23, 26
 Szerbińska Romana,
 ur. Baranowska,
 ps. Kaśka 22, 23, 26-29
 Szerbiński Jakub 23
 Szparaga Stefan 8
 Szrajnduchert Jan 10, 33, 34

Tapczewski Tadeusz 28
 Tuchaczewski Michał 39

Umiastowski Roman 11

Wakalska Antonina 27, 28
 Wakalski, dyr. zapalkowni 27, 28
 Wielgosz, ksiądz 13, 14
 Winnicki Władysław 29
 Wiśniewski, prac. zapalkowni
 28, 29, 31, 34

Wróblewski Jan 17, 18
 Wróblewska Maria 13

Zacharski Jan 37
 Zieliński Stefan 9

Żmigród Tadeusz 16
 Żmudziński Józef, ps. Broniek 29

Spis treści

Roman Nowoszewski, <i>Drugi tomik Błńskiej Biblioteczki</i>	5
Katarzyna Degler, <i>Okupacyjne wspomnienia z Fabryki Zapalek</i>	7
Jerzy Oziemski, <i>Postscriptum</i>	20
Władysław Degler, <i>O Fabryce Zapalek w Błninie</i>	31
Władysław Degler, <i>Deglerowie</i>	39
Roman Nowoszewski, <i>Z historii polskich zapalek</i>	48
<i>Indeks</i>	50